

A close-up, high-contrast photograph of a woman's face. She has dark hair and is looking slightly upwards and to the right. Her mouth is open, revealing sharp, white vampire fangs. The lighting is dramatic, with deep shadows on the right side of her face and bright highlights on the left. The background is solid black.

# odnaleziona

część 8

Wampirzych Dzienników

morgan rice

**Morgan Rice**  
**Odnaleziona**  
Серия «Wampirzych  
Dzienników», книга 8

*[http://www.litres.ru/pages/biblio\\_book/?art=43691903](http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=43691903)  
Odnaleziona (Część 8 Wampirzych Dzienników):  
ISBN 9781632915078*

**Аннотация**

W ODNALEZIONA (ósmej części Wampirzych Dzienników) Caitlin i Caleb budzą się w starożytnym Izraelu, w roku trzydziestym trzecim naszej ery i ze zdumieniem odkrywają, że trafili do czasów Chrystusa. Starożytny Izrael obfituje w święte miejsca, starodawne synagogi i dawno utracone zabytki. To miejsce na wskroś przesiąknięte duchowością – a w trzydziestym trzecim roku naszej ery, w tym samym, w którym ukrzyżowano Chrystusa, jest to czas duchowego apogeum. W Jerozolimie, w samym sercu stolicy Izraela, leży Świątynia Salomona, wewnątrz której znajduje się sanktuarium – Miejsce Święte i Najświętsze oraz Arka Przymierza. Na tych ulicach Chrystus stawia ostatnie kroki przed swoim ukrzyżowaniem. Jerozolima aż roi się od ludzi pochodzących z różnych środowisk religijnych i wyznań, żyjących pod czujnym okiem rzymskich żołnierzy oraz ich prefekta, Poncjusza Piłata. Miasto ma też swoją ciemną stronę, labiryntowe ulice i uliczki wiodące do ukrytych

tajemnic i świątyń pogańskich. Caitlin nareszcie ma wszystkie cztery klucze, ale wciąż musi znaleźć ojca. Jej poszukiwania prowadzą z Nazaretu do Kafarnaum i Jerozolimy, śladem mistycznych tajemnic i wskazówek, krok w krok za Chrystusem. Prowadzą również do Góry Oliwnej, do Aideny i jego klanu, i do jeszcze potężniejszych tajemnic i zabytków. Na każdym kroku Caitlin czuje obecność ojca. Ale czas ma teraz istotne znaczenie: Sam, pochłonięty przez ciemne moce, również cofnął się w czasie i połączył siły z Rexussem, przywódcą mrocznego klanu, by pokonać Caitlin w wyścigu do Tarczy. Rexus nie cofnie się przed niczym, aby zniszczyć Caitlin i Caleba, a mając Sama po swej stronie oraz nową armię, jest bardzo groźny. Co gorsza, Scarlet cofa się w czasie sama, oddzielona od rodziców. Wędruje ulicami Jerozolimy z Ruth i zaczyna odkrywać swoje moce, ale też grozi jej poważne niebezpieczeństwo. Zwłaszcza, gdy odkrywa, że ona również jest powiernicą wielkiej tajemnicy. Czy Caitlin znajdzie ojca? Czy znajdzie starożytną tarczę wampirów? Czy połączy się z córką? Czy brat spróbuje ją zabić? I czy jej miłość do Caleba przetrwa tę ostateczną podróż w czasie?

# Содержание

ROZDZIAŁ PIERWSZY	13
ROZDZIAŁ DRUGI	21
ROZDZIAŁ TRZECI	31
ROZDZIAŁ CZWARTY	40
ROZDZIAŁ PIĄTY	54
ROZDZIAŁ SZÓSTY	61
ROZDZIAŁ SIÓDMY	66
Конец ознакомительного фрагмента.	82

# Morgan Rice

## Odnaleziona (Część 8 Wampirzych Dzienników)

przekład: Michał Głuszak

### O autorce

Morgan Rice plasuje się na samym szczycie listy USA Today najpopularniejszych autorów powieści dla młodzieży. Morgan jest autorką bestsellerowego cyklu fantasy **KRĄG CZARNOKSIEŻNIKA**, złożonego z siedemnastu książek; bestsellerowej serii **WAMPIRZE DZIENNIKI**, złożonej, do tej pory, z jedenastu książek; bestsellerowego cyklu thrillerów post-apokaliptycznych **THE SURVIVAL TRILOGY**, złożonego, do tej pory, z dwóch książek; oraz najnowszej serii fantasy **KRÓLOWIE I CZARNOKSIEŻNICY**, składającej się z dwóch części (kolejne w trakcie pisania). Powieści Morgan dostępne są w wersjach audio i drukowanej, w ponad 25 językach.

**PRZEMIENIONA** (Księga 1 cyklu Wampirzych Dzienników), **ARENA ONE** (Księga 1 cyklu Survival Trilogy), **WYPRAWA BOHATERÓW** (Księga 1 cyklu Krąg Czarnoksiężnika) oraz **POWRÓT SMOKÓW** (Księga 3 Królowie i Czarnoksiężnicy) dostępne są nieodpłatnie.

Morgan czeka na wiadomość od Ciebie. Odwiedź jej stronę internetową [www.morganricebooks.com](http://www.morganricebooks.com) i dołącz do listy mailingowej, a otrzymasz bezpłatną książkę, darmowe prezenty, darmową aplikację do pobrania i dostęp do najnowszych informacji. Dołącz do nas na Facebooku i Twitterze i pozostań z nami w kontakcie!

## **Książki autorstwa Morgan Rice**

### **KRÓLOWIE I CZARNOKSIEŻNICY**

POWRÓT SMOKÓW (CZEŚĆ #1)

POWRÓT WALECZNYCH (CZEŚĆ #2)

POTEGA HONORU (CZEŚĆ #3)

KUŹNIA MĘSTWA (CZEŚĆ #4)

### **KRĄG CZARNOKSIEŻNIKA**

WYPRAWA BOHATERÓW (CZEŚĆ 1)

MARSZ WŁADCÓW (CZEŚĆ 2)

LOS SMOKÓW (CZEŚĆ 3)

ZEW HONORU (CZEŚĆ 4)

BLASK CHWAŁY (CZEŚĆ 5)

SZARŻA WALECZNYCH (CZEŚĆ 6)

RYTUAŁ MIECZY (CZEŚĆ 7)

OFIARA BRONI (CZEŚĆ 8)

NIEBO ZAKŁĘĆ (CZEŚĆ 9)

MORZE TARCZ (CZEŚĆ 10)

ŻELAZNE RZĄDY (CZEŚĆ 11)  
KRAINA OGNI (CZEŚĆ 12)  
RZĄDY KRÓLOWYCH (CZEŚĆ 13)  
PRZYSIĘGA BRACI (CZEŚĆ 14)  
SEN ŚMIERTELNIKÓW (CZEŚĆ 15)  
POTYCZKI RYCERZY (CZEŚĆ 16)  
ŚMIERTELNA BITWA (CZEŚĆ 17)

### **THE SURVIVAL TRILOGY**

ARENA ONE: SLAVERSUNNERS (CZEŚĆ 1)  
ARENA TWO (CZEŚĆ 2)

### **WAMPIRZYCH DZIENNIKÓW**

PRZEMIENIONA (CZEŚĆ 1)  
KOCHANY (CZEŚĆ 2)  
ZDRADZONA (CZEŚĆ 3)  
PRZEZNACZONA (CZEŚĆ 4)  
POŻĄDANA (CZEŚĆ 5)  
ZARECZONA (CZEŚĆ 6)  
ZAŚLUBIONA (CZEŚĆ 7)  
ODNALEZIONA (CZEŚĆ 8)  
WSKRZESZONA (CZEŚĆ 9)  
UPRAGNIONA (CZEŚĆ 10)  
NAZNACZONA (CZEŚĆ 11)

## KINGS AND SORCERERS



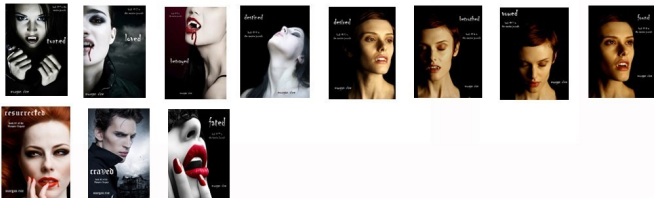
### THE SORCERER'S RING



### THE SURVIVAL TRILOGY



### the vampire journals





**Posłuchaj cyklu Wampirze  
Dzienniki w formacie audio!**

Copyright © 2012 Morgan Rice

Wszelkie prawa zastrzeżone. Poza wyjątkami dopuszczonymi

na mocy amerykańskiej ustawy o prawie autorskim z 1976 roku, żadna część tej publikacji nie może być powielana, rozpowszechniana, ani przekazywana w jakiejkolwiek formie lub w jakikolwiek sposób, ani przechowywana w bazie danych lub systemie wyszukiwania informacji bez wcześniejszej zgody autora.

Niniejsza publikacja elektroniczna została dopuszczona do wykorzystania wyłącznie na użytek własny. Nie podlega odsprzedaży ani nie może stanowić przedmiotu darowizny, w którym to przypadku należy zakupić osobny egzemplarz dla każdej kolejnej osoby. Jeśli publikacja została zakupiona na użytek osoby trzeciej, należy zwrócić ją i zakupić własną kopię. Dziękujemy za okazanie szacunku dla ciężkiej pracy autorki publikacji.

Niniejsza praca jest dziełem fikcji. Wszelkie nazwy, postaci, miejsca i wydarzenia są wytworem wyobraźni autorki. Wszelkie podobieństwo do osób prawdziwych jest całkowicie przypadkowe i niezamierzone.

Na okładce: Jennifer Onvie. Fotograf: Adam Luke Studios, Nowy Jork. Makijaż: Ruthie Weems. Kontakt: Morgan Rice

## **FAKT:**

Choć dokładna data śmierci Jezusa pozostaje nieznana, powszechnie uważa się, że zmarł trzeciego kwietnia trzydziestego trzeciego roku naszej ery.

## **FAKT:**

Synagoga w Kafarnaum (Izrael) jest jednym z najstarszych miejsc na świecie i jednym z niewielu, w których nauczał Jezus. Tam to uzdrowił człowieka, który „miał w sobie nieczystego ducha”

## **FAKT:**

Obecna Bazylika Grobu Pańskiego w Jerozolimie, jedna z najbardziej czczonych świątyń na świecie, została wybudowana w miejscu ukrzyżowania Jezusa oraz rzekomym miejscu jego zmartwychwstania. Zanim jednak powstała, przez pierwsze trzysta lat po jego ukrzyżowaniu, miejsce to paradoksalnie służyło za podwaliny świątyni pogańskiej.

## **FAKT:**

Po Ostatniej Wieczerzy, Jezus został zdradzony przez Judasza w uświęconym ogrodzie Getsemani.

## **FAKT:**

Zarówno Judaizm jak i Chrześcijaństwo zakładają nadejście

apokalipsy, końca wszystkich dni, podczas którego przybędzie Mesjasz, a ci, którzy umarli, zostaną wskrzeszeni. W Judaizmie wierzy się, że gdy przyjdzie Mesjasz, pierwszymi, którzy zmartwychwstaną, będą ci, którzy zostali pochowani na Górze Oliwnej.

*Przytknę usta  
Do twych kochanych ust, może tam jeszcze  
Znajdzie się jaka odrobina jadu,  
Co mię zabije w upojeniu błogim.  
Zbawczy puginale!*

*-- William Shakespeare, Romeo i Julia*

# ROZDZIAŁ PIERWSZY

Nazaret, Izrael  
(kwiecień, 33 A.D.)

Caitlin nękały niespokojne sny. Widziała swoją przyjaciółkę Polly spadającą z urwiska. Chciała ją złapać, ale nie zdołała chwycić jej dłoni. Widziała Sama, swego brata, jak uciekał przed nią po bezkresnym polu; puściła się za nim w pogoń, ale bez względu na to, jak szybko biegła, nie mogła go dogonić. Widziała, jak na jej oczach Kyle i Rynd zarzynali członków jej klanu, rąbali na kawałki, ochlapując ją ich krwią. Ta krew przeistoczyła się w krwistoczerwony zachód słońca, który przysłonił jej zaślubiny z Calebem. Tylko że tym razem byli jedynymi osobami biorącymi udział w ceremonii, ostatnimi na świecie, stojącymi na skraju urwiska, na tle krwistoczerwonego nieba.

Wówczas dostrzegła Scarlet, swą córkę, samą na bezkresnym morzu, siedzącą w niewielkiej drewnianej łodzi dryfującej po niespokojnych wodach. Scarlet uniosła cztery klucze, których Caitlin potrzebowała, by odnaleźć ojca. Na jej oczach dziewczynka wrzuciła je do wody.

– Scarlet! – próbowała krzyknąć Caitlin.

Ale nie mogła wydobyć głosu, a Scarlet z każdą chwilą dryfowała coraz dalej od niej, w stronę oceanu, ogromnych

burzowych chmur zbierających się na horyzoncie.

– SCARLET!

Caitlin Paine obudziła się z krzykiem. Usiadła, oddychając ciężko i rozejrzała się wokół, starając się zorientować w sytuacji. Było ciemno, a jedyne źródło światła – niewielki otwór – znajdowało się około dwudziestu jardów dalej. Wyglądało na to, że była w jakimś tunelu. Lub może jaskini.

Poczuła pod sobą coś twardego. Spojrzała w dół i uświadomiła sobie, że leży na ziemi, na niewielkich kamieniach. Było gorąco i wokół unosił się kurz. Gdziekolwiek była, z pewnością nie przypominało to szkockiej pogody. Odczuwała skwar i suszę – jakby znalazła się na pustyni.

Siedziała, rozcierając twarz, wpatrując się w mrok zmrużonymi oczyma, starając się przypomnieć sobie cokolwiek, rozróżnić między snem a jawą. Jej sny były bardzo sugestywne, a rzeczywistość taka nierealna, że było coraz trudniej odróżnić jedno od drugiego.

Powoli odzyskała oddech i otrząsnęła się z okropnych wizji. Zdała sobie sprawę, że cofnęła się w czasie. Była żywa. Gdzieś tam. W jakimś innym miejscu i czasie. Czowała liczne warstwy kurzu na skórze, we włosach, oczach. I od razu poczuła ochotę, by wziąć kąpiel. Było tak gorąco; tak trudno było oddychać.

Poczuła znajome wybrzuszenie w swej kieszeni, przekreśliła się i z ulgą stwierdziła, że jej dziennik przetrwał podróż. Natychmiast sprawdziła drugą kieszeń i poczuła cztery klucze. Potem podniosła dłoń i wyczuła naszyjnik. Wszystko

przetrwało. Odetchnęła z ulgą.

Wtedy przypomniała coś sobie. Natychmiast odwróciła się, szukając Caleba i Scarlet, chcąc sprawdzić, czy im również udało się cofnąć razem z nią.

Dostrzegła w mroku leżący kształt, nieruchomy i w pierwszym odruchu pomyślała, że to jakieś zwierzę. Kiedy jej wzrok dostosował się bardziej, zdała sobie sprawę, że ów kształt ma ludzką formę. Powoli wstała i z obolałym, zeszywniałym od leżenia na twardym podłożu ciałem, zaczęła zbliżać się do tego czegoś.

Przeszła jaskinię, uklękła i delikatnie popchnęła ramię ogromnej sylwetki. Wyczuła już, kto to: nie musiała go odwracać. Wyczuwała go z odległości całej jaskini. Wiedziała, odczuwając jednocześnie wielką ulgę, że jest to obiekt jej miłości, jedyny i wyłączny. Jej mąż. Caleb.

Kiedy Caleb odwrócił się na plecy, Caitlin modliła się, by przetrwał podróż w dobrym zdrowiu. I żeby ją pamiętał.

*Proszę, myślała. Proszę. Ostatni raz. Błagam, niech Caleb przeżyje tę podróż.*

Kiedy spojrzała na jego twarz, stwierdziła z ulgą, że wyszedł bez szwanku. Nie zauważyła żadnych oznak uszkodzeń ciała. Kiedy przyjrzała się mu dokładniej, poczuła jeszcze większą ulgę. Oddychał. Jego pierś unosiła się i opadała rytmicznie – a potem drgnęły mu powieki.

Odetchnęła z ogromną ulgą, kiedy otworzył oczy.

– Caitlin? – zapytał.

Wybuchnęła płaczem. Poczowała uniesienie, nachyliła się i uściskała go. Dotarli tu oboje. Żył. Tylko tego pragnęła. Na niczym więcej jej nie zależało.

Objął ją ramionami, a ona trzymała go w swych objęciach przez długą chwilę, czując, jak napinały się mu mięśnie. Zawładnął nią wszechogarniający spokój. Kochała go bardziej, niż potrafiła to wyrazić. Tyle razy cofnęli się już razem w czasie, trafili do tylu różnych miejsc, widzieli tak wiele, przeżyli wzloty i upadki, tyle razem wycierpieli i równie dużo świętowali. Przyszły jej na myśl te wszystkie chwile, kiedy niemal rozstali się ze sobą na zawsze, kiedy Caleb zapomniał o niej, kiedy został otruty... Przeszkody stojące na drodze ku ich szczęściu zdawały się nigdy nie kończyć.

I teraz, nareszcie, dokonali tego. Byli znowu razem. Razem mieli odbyć ostatnią podróż. *Czy to znaczyło, że już nigdy się nie rozstaną?* pomyślała. Miała taką nadzieję. Pragnęła tego każdą cząstką swego istnienia. Koniec z podróżami w czasie. Tym razem byli ze sobą na dobre.

Caleb wyglądał na starszego. Spojrzała w jego błyszczące, brązowe oczy i zobaczyła w nich miłość. Wiedziała, że myślał dokładnie to, co ona w tym momencie.

Kiedy zajrzała w jego oczy, zalała ją fala wspomnień. O ich ostatniej podróży, o Szkocji. Wszystko powróciło w natłoku, jak okropny sen. Na początku było tak pięknie. Zamek, spotkanie ze wszystkimi przyjaciółmi. Ślub. *Mój Boże, ślub.* Był najpiękniejszym wydarzeniem, jakie mogła sobie wymarzyć.

Spojrzała w dół, by sprawdzić palec. Zobaczyła obrączkę. Wciąż była na miejscu. Obrączka również przetrwała podróż w czasie. Symbol ich miłości nie zaginął. Ledwie mogła w to uwierzyć. Była naprawdę żoną. I to jego żoną. Wzięła to za dobry znak: jeśli obrączka mogła przetrwać podróż w czasie, cofnąć się, przetrzymać to wszystko, to ich miłość również.

Widok obrączki na palcu w końcu dotarł do jej świadomości. Zawahała się na chwilę, zastanawiając się, jak czuła się jako zamężna kobieta. A czuła się inaczej. Była bardziej sobą, stała i trwała. Kochała Caleba od zawsze i czuła, że on również ją kochał. Od zawsze też czuła, że ich związek był ponadczasowy. Teraz jednak, kiedy już był sprawą oficjalną, Caitlin czuła się inaczej. Czuła, że oboje byli naprawdę jednością.

Potem Caitlin wróciła myślami do wydarzeń po ślubie: jak musieli opuścić Scarlet, Sama i Polly. Jak znaleźli Scarlet pośród oceanu, jak spotkali Aiden, który przekazał im okropne wieści. Polly, jej najlepsza przyjaciółka, straciła życie. Sam, jej jedyny brat, utracony na zawsze, pochłonięty przez mroczną stronę. Członkowie jej klanu – wymordowani. Za wiele tego było jak na nią. Nie potrafiła wyobrazić sobie tego piekła, ani życia bez Sama – czy też Polly.

Aż podskoczyła, kiedy jej myśli zwróciły się ku Scarlet. Nagle ogarnęła ją panika. Oderwała się od Caleba i zaczęła przesuwać jaskinię, zastanawiając się, czy Scarlet również udało się przeżyć podróż.

Caleb musiał też pomyśleć o tym w tej chwili, ponieważ jego

oczy nagle otworzyły się szeroko.

– Gdzie Scarlet? – zapytał, jak zwykle czytając jej w myślach.

Caitlin odwróciła się i zaczęła biegać po całej jaskini, zaglądając do wszystkich skrytych w mroku szczelin, szukając jakichkolwiek zarysów ciała dziewczynki, jakichkolwiek oznak obecności Scarlet. Ale niczego nie znalazła. Zaczęła gorączkowo sprawdzać różne zakamarki, przeszukiwać wraz z Calebem jaskinię w szerz i wzdłuż, cal po calu.

Ale Scarlet tu nie było. Po prostu jej tu nie było.

Caitlin była przybita. Jak to mogło się stać? Jak to możliwe, że ona i Caleb przetrwali podróż, a Scarlet nie? Czy przeznaczenie mogło być aż tak okrutne?

Caitlin odwróciła się i pobiegła w kierunku słonecznego światła, ku wyjściu z jaskini. Musiała wyjść na zewnątrz, zobaczyć, co tam jest, poszukać jakichkolwiek śladów Scarlet. Caleb pobiegł z nią. Oboje dotarli do brzegu jaskini oświetlonej promieniami słońca i stanęli u jej wejścia.

Caitlin stanęła jak wryta, w samą porę: z jaskini wystawał niewielki skalny występ, za którym widniała przepaść, ciągnąca się w dół stromego zbocza góry. Caleb zatrzymał się tak samo nagle, tuż obok niej. Stali na wąskiej, skalnej półce, spoglądając w dół. W jakiś sposób wylądowali ponownie wewnątrz górskiej jaskini, znajdującej się setki stóp nad ziemią. Nie było ani drogi w górę, ani w dół. A gdyby zrobili jeszcze jeden krok, runęliby setki stóp w dół.

Przed nimi rozciągała się ogromna dolina, ciągnąc się

po horyzont jak okiem sięgnąć. Krajobraz był pustynny, poprzetykany skalnymi wybojami i gdzie niegdzie palmami. W oddali widniały rozległe wzgórza, a poniżej znajdowała się wieś, na którą składały się domostwa usypane ze skalnego budulca i piaszczyste ulice. Na słońcu było jeszcze goręcej, nieznośnie jaskrawo i upalnie. Caitlin uzmysłowiła sobie, że byli w całkowicie odmiennym miejscu i klimacie, niż Szkocja. A sądząc po prymitywnych zabudowaniach wioski, byli też w zupełnie innych czasach.

Wśród tych skał i piachu widniały oznaki rolnictwa, sporadyczne pasy zieleni. Niektóre pokrywały winnice, a ich pnącza rosące w starannie uformowanych rzędach, pokrywały strome wzgórza. Wśród nich Caitlin dostrzegła nieznane sobie drzewka: niewielkie, wyglądające wiekowo, z poskręcanyimi gałęziami i srebrzystymi liśćmi, które połyskiwały na słońcu.

– Drzewa oliwne – powiedział Caleb, czytając w myślach.

*Drzewa oliwne?* zdziwiła się Caitlin. *Gdzie my do licha jesteśmy?*

Obejrzała się na Caleba, wyczuwając, że mógł rozpoznać to miejsce i te czasy. Zauważyła, jak otworzył szeroko oczy i wiedziała, że tak było – i był zdumiony. Spoglądał przed siebie, jakby zobaczył długo niewidzianego przyjaciela.

– Gdzie jesteśmy? – zapytała, niemal obawiając się odpowiedzi.

Caleb przecesał wzrokiem dolinę, po czym odwrócił się i spojrzał na nią.

Szeptem powiedział:

– Nazaret.

Zamilkł, chłonąc wszystkie szczegóły widoku.

– Sądząc po wiosce, jesteśmy w pierwszym wieku naszej ery – powiedział, odwracając się i spoglądając na Caitlin w zadumie. Jego oczy błyszczały z podekscytowania. – W gruncie rzeczy, wygląda na to, że mogliśmy nawet trafić w czasy Chrystusa.

# ROZDZIAŁ DRUGI

Scarlet poczuła liżący jej twarz język i otworzyła oczy przy oślepiającym blasku słońca. Język uporczywie lizał ją dalej. Wiedziała jednakże, że to Ruth, jeszcze zanim się obejrzała. Otworzyła oczy wystarczająco szeroko, by ją dostrzec: Ruth nachylała się nad nią, skomlała, a widząc otwarte oczy Scarlet jeszcze bardziej się ożywiła.

Scarlet poczuła ukłucie bólu, kiedy spróbowała szerzej otworzyć oczy. Oślepiające, słoneczne światło sprawiło, że oczy zaszyły łzami, wrażliwsze niż kiedykolwiek dotąd. Bolała ją głowa. Podniosła powieki wystarczająco, by stwierdzić, że znajdowała się na jakiejś brukowanej ulicy. Ludzie przechodzili obok w pośpiechu. Zrozumiała, że znalazła się w samym centrum tętniącego życiem miasta. Ludzie spieszyli gdzieś, krzątając się wokoło. Słyszała docierający zewsząd, o tej południowej porze, zgiełk. Ruth skamlała, aż Scarlet usiadła, starając się przypomnieć coś sobie, zorientować się, gdzie jest. Lecz nic nie przyszło jej do głowy.

Nagle poczuła czyjaś stopę na swoich żebrach.

– Rusz się! – odezwał się czyjś głęboki głos. – Nie możesz tu spać.

Scarlet obejrzała się i zobaczyła sandał rzymskiego żołnierza tuż przy swojej twarzy. Podniosła wzrok i zobaczyła go, stojącego nad nią, ubranego w krótką tunikę, z pasem wokół talii,

z którego zwisał krótki miecz. Miał na sobie niewielki hełm z mosiądzu przyozdobiony piórami.

Nachylił się i trącił ją ponownie stopą. Scarlet poczuła ból w brzuchu.

– Słyszesałaś, co powiedziałem! Rusz się, albo cię przymknę.

Scarlet chciała go posłuchać, ale kiedy otworzyła oczy szerzej, słońce sprawiło jej niewysłowiony ból i do tego była jeszcze całkiem zdezorientowana. Spróbowała stanąć na nogi, ale czuła, jakby poruszała się w zwolnionym tempie.

Żołnierz odchylił się, chcąc kopnąć ją w żebra. Scarlet zauważyła nadciągające uderzenie i przygotowała się na nie, nie będąc w stanie wystarczająco szybko zareagować.

Usłyszała warczenie. Obejrzała się i zobaczyła Ruth z sierścią zjezoną na karku, gdy ta rzuciła się na żołnierza. Złapała go za stopę i zatopiła ostre kły w jego ciele.

Żołnierz wrzasnął, a jego krzyki wypełniły okolice. Krew ciekła mu z nogi. Ruth nie zamierzała jednak go puścić. Potrząsała nogą człowieka ze wszystkich sił, a wyraz jego spojrzenia, jeszcze chwilę temu taki wyniosły, przeobraził się w trwogę.

Sięgnął do pasa i wydobył miecz. Uniósł go wysoko i przygotował się do zadania ciosu.

Właśnie wtedy Scarlet to poczuła. Jakby jakaś siła przejęła jej ciało, jakaś inna moc, inna istota żyjąca w niej. Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, nagle skoczyła. Nie mogła nad tym zapanować. Nie rozumiała też, co się działo.

Skoczyła na nogi. Serce biło mocno napędzane adrenaliną. Zdołała chwycić nadgarstek żołnierza w locie, w chwili, kiedy zadawał cios. Czuła pulsującą w sobie moc, moc, której nie знаła. Przytrzymała mu dłoń, a on, choć napierał z całych sił, nie zdołał się poruszyć.

Ścisnęła mu nadgarstek. Ścisnęła coraz mocniej, aż w końcu spojrzał na nią zszokowany i wypuścił miecz z dłoni, który wylądował na bruku z metalicznym szczękiem.

– Już w porządku, Ruth – powiedziała cicho i Ruth stopniowo zwolniła zacisk na stopie żołnierza.

Scarlet stała, trzymając nadgarstek mężczyzny zamknięty w morderczym uścisku.

– Puść mnie, proszę – błagał.

Scarlet czuła moc krążącą w jej ciele, czuła, że gdyby tylko zechciała, mogłaby naprawdę wyrządzić mu krzywdę. Ale nie chciała. Pragnęła jedynie, by dał jej spokój.

Powoli rozluźniła uścisk i go puściła.

Żołnierz odwrócił się i ze strachem w oczach, jakby dopiero co ujrzał demona, rzucił się do ucieczki, nie zwracając sobie głowy odzyskaniem miecza.

– Chodź, Ruth – powiedziała Scarlet, przeczuwając, że mężczyzna może wrócić w liczniejszym towarzystwie i nie chcąc kręcić się w tej okolicy.

Chwilę później zagłębiły się w gęsty tłum. Ruszyły pospiesznie wąskimi, wijącymi się ścieżkami, aż w końcu Scarlet znalazła jakiś zacieniony ką. Wiedziała, że żołnierze nie

mogli ich tu znaleźć, a potrzebowała chwili, by się przestawić, zorientować, gdzie były. Ruth dyszała tuż obok, podczas gdy Scarlet sama starała się zaczerpnąć tchu w panującym upale.

Była zarówno przerażona, jak i zdumiona swoimi mocami. Wiedziała, że coś się zmieniło, lecz nie potrafiła w pełni pojąć, co się z nią działo. Nie rozumiała też, gdzie podziiali się inni. Było tu tak gorąco. I do tego była w mieście, którego nie rozpoznawała. W żadnej mierze nie przypominało jej Londynu, w którym dorastała. Wyjrzała na zewnątrz i zaczęła obserwować wszystkich ludzi ganiających gdzieś obok, ubranych w szaty, togi, sandały, noszących wielkie kosze fig i daktyli na głowach lub barkach, niektórych w turbanach na głowie. Widziała stare, kamienne budowle, wąskie i kręte alejki, brukowane uliczki i zastanawiała się, gdzie do licha była. To na pewno nie Szkocja. Wszystko tutaj wyglądało tak bardzo prymitywnie, że miała wrażenie, iż cofnęła się w czasie o tysiące lat.

Rozglądała się wokół, mając nadzieję ujrzeć gdzieś mamę i tatę. Przypatrywała się mijającym ją twarzom uważnie, mając nadzieję, gorąco pragnąc, by któraś zatrzymała się i odwróciła w jej kierunku.

Ale nie było ich nigdzie. I z każdą oddalającą się od niej osobą czuła się coraz bardziej samotna.

Zaczynała odczuwać panikę. Nie mogła zrozumieć, dlaczego cofnęła się w czasie sama. Jak mogli ją tak zostawić? Gdzie byli? Czy im również udało się przeżyć podróż? Czy nie zależało im na tym, aby ją odszukać?

Im dłużej stała, obserwowwała i czekała, tym dobitniej docierał do niej fakt, że była sama. Całkowicie zdana na siebie, w dziwnych czasach, w dziwnym miejscu. Nawet jeśli Caitlin i Caleb byli gdzieś tutaj, nie miała pojęcia, gdzie ich szukać.

Spuściła wzrok i spojrzała na swój nadgarstek, na zabytkową bransoletę z dyndającym krzyżykiem, którą otrzymała tuż przed tym, jak opuścili Szkocję. Kiedy stali na zamkowym dziedzińcu, jeden z tych wiekowych mężczyzn w białych szatach wsunął ją na jej dłoń. Pomyślała, że była bardzo ładna, ale nie wiedziała ani co to było, ani co znaczyło. Miała przeczucie, że mogła to być jakaś wskazówka, ale nie miała pojęcia jaka.

Poczuła ocierającą się o jej nogę Ruth i uklękła. Pocałowała ją w pyszczek i objęła ramionami. Ruth zaskamlała jej do ucha i polizała. Przynajmniej miała Ruth. Wilczyca była dla niej niczym siostra i Scarlet była wdzięczna, że udało jej się przetrwać podróż i być tu teraz z nią. Była też jej wdzięczna za to, że ochroniła ją przed żołnierzem. Nikogo innego tak nie kochała.

Kiedy wróciła myślą do żołnierza, do ich spotkania, zdała sobie sprawę, że jej moce musiały być potężniejsze, niż sądziła. Nie mogła zrozumieć, jak ona, taka mała dziewczynka, zdołała go obezwładnić. Czuła, że w jakiś sposób zmieniała się, o ile już się nie zmieniła, w coś, czym nigdy nie była. Pamiętała, jak mama w Szkocji jej wyjaśniała. Mimo to, wciąż nie mogła tego zrozumieć.

Chciała, żeby to wszystko po prostu znikło. Chciała jedynie być normalna, chciała, żeby wszystko było takie zwykłe, jak

przedtem. Chciała jedynie wrócić do rodziców; chciała zamknąć oczy i być z powrotem w Szkocji, na zamku, razem z Samem, Polly i Aidenem. Chciała wrócić na ceremonię zaślubin; chciała, by wszystko było znów w porządku.

Kiedy jednak otworzyła oczy, wciąż była tu, sama z Ruth w tym dziwnym mieście, w tych dziwnych czasach. Nie знаła dosłownie nikogo. Nikt nie wydawał się przyjazny. I nie miała pojęcia, dokąd pójść.

W końcu nie mogła dłużej tego znieść. Musiała coś zrobić. Nie mogła ukrywać się tu i czekać w nieskończoność. Pomyślała, że gdziekolwiek byli jej najbliżsi, musiało to być gdzieś tam. Poczowała głód i usłyszała skomlenie Ruth. Wiedziała, że wilczyca również była głodna. Musisz być dzielna, powiedziała sobie. Musiała wyjść na zewnątrz, musiała spróbować ich poszukać – i postarać się znaleźć jakieś jedzenie dla nich obu.

Wyszła na tętniącą życiem uliczkę, rozglądając się bacznie za żołnierzami. Zobaczyła w oddali, jak patrolowali ulice, lecz nie wyglądało na to, że szukali akurat jej.

Razem z Ruth wcisnęły się w ludzką masę i popychane co chwila ruszyły przed siebie krętymi uliczkami. Wokół cisnął się wielki tłum, ludzie pędzili na wszystkie strony. Minęła sprzedawców z drewnianymi koszami sprzedających owoce i warzywa, bochenki chleba, butelki z oliwą z oliwek i winem. Cisnęli się przy sobie, upchnięci jeden przy drugim i krzyczeli na klientów. Ludzie targowali się z nimi na prawo i lewo.

Jakby nie dość tych tłumów, ulice wypełniały również

zwierzęta – wielbłądy, osły, owce i różnego rodzaju żywy inwentarz prowadzony przez swych właścicieli. A pośród nich biegały zdziczałe kury, kurczaki i psy. Śmierdziały paskudnie i sprawiały, że głośne targowisko rozbrzmiewało jeszcze głośniejszym, bezustannym oślim rykiem, beczeniem i poszczekiwaniem.

Scarlet wyczuwała głód Ruth, który na widok tych wszystkich zwierząt tylko się wzmógł. Uklękła, chwyciła Ruth za szyję i powstrzymała w miejscu.

– Nie Ruth! – powiedziała zdecydowanie.

Ruth posłuchała, choć niechętnie. Scarlet zrobiło się przykro, jednak nie chciała, by Ruth zabiła jakieś zwierzę i spowodowała zamieszanie w tłumie.

– Znajdę ci coś do jedzenia, Ruth – powiedziała. – Obiecuję.

Ruth zaskomlała w odpowiedzi, a Scarlet sama również poczuła ukłucie głodu.

Przeszła obok zwierząt pospiesznym krokiem, prowadząc Ruth dalej wijącymi się uliczkami, omijając sprzedawców. Wyglądało na to, że ten istny labirynt nigdy nie miał się skończyć. Scarlet nie mogła nawet dostrzec nieba nad sobą.

W końcu znalazła sprzedawcę stojącego przy wielkim kawale piekącego się na rożnie mięsa. Wyczuła zapach z daleka. Przeniknął każdą cząstkę jej ciała; spojrzała w dół i dostrzegła wpatrującą się w nią Ruth, która oblizywała się ze smakiem. Zatrzymała się przed nim i wlepiła wzrok w mięso.

– Kupisz kawałek? – zapytał sprzedawca, wielki mężczyzna w poplamionej krwią koszuli.

Scarlet pragnęła tego kawałka, jak niczego innego na świecie. Kiedy jednak sięgnęła do kieszeni, nie znalazła żadnych pieniędzy. Dotknęła swojej bransoletki. Chciała ją zdjąć i sprzedać temu człowiekowi, by dostać jedzenie.

Ale zmusiła się, by tego nie zrobić. Czuła, że ozdoba miała duże znaczenie i siłą woli powstrzymała się.

Zamiast tego, powoli i smutno pokręciła głową. Chwyliła Ruth i odciągnęła od sprzedawcy. Ruth zaczęła skomleć i protestować, ale nie miały innego wyboru.

Brnęły dalej, aż nagle labirynt skończył się i Scarlet ujrzała szeroki i skąpany w jaskrawym słońcu plac. Była zaskoczona widokiem otwartej przestrzeni. Po tych wąskich uliczkach, miejsce to wydało się najobszerniejsze, jakie do tej pory widziała, z tłumami kłębiących się ludzi. Na środku placu znajdowała się kamienna fontanna, a wokół niego ciągnął się ogromny, kamienny mur, pnący się setki stóp w górę. Każdy kamień był tak obszerny, że mierzył z dziesięć razy tyle, co ona. Przy murze stały setki zawodzących i modlących się ludzi. Scarlet nie miała pojęcia gdzie, ani też z jakiego powodu trafiła w to miejsce. Wyczuła jednak, że była w centralnym punkcie miasta, i to w bardzo świętym miejscu.

– Hej, ty! – dobiegł ją czyjś paskudny głos.

Scarlet poczuła, jak ciarki przebiegły jej po plecach, po czym odwróciła się powoli.

Nieopodal siedziało na stercie kamieni pięciu chłopców. Wpatrywali się w nią. Byli nastolatkami, mieli około piętnastu

lat, a z ich twarzy wycierała podłość. Wyczuła, że byli skorzy do burd i właśnie dostrzegli następną ofiarę. Zastanawiała się, czy to, że była sama aż tak rzucało się w oczy.

Wśród nich pałętał się zdziczały pies, ogromny, wyglądający na wściekłego i dwa razy większy od Ruth.

– Co ty tu sama robisz? – spytał przywódca chłopców szyderczo, wywołując śmiech swych towarzyszy. Był umięśniony i wyglądał głupawo. Miał szerokie usta i bliznę na czole.

Kiedy na nich spojrzała, poczuła, jak o władnęło ją jakieś nieznane doznanie: jakby wzmożona intuicja. Nie wiedziała, co się działo, lecz nagle była w stanie precyzyjnie odczytać ich myśli, odczuwać emocje, przejrzeć zamiary. Natychmiast wyczuła, że nic dobrego nie mieli w zanadru. Wiedziała, że zamierzali ją skrzywdzić.

Ruth zawarczała przy niej. Scarlet zaś wyczuła zbliżającą się konfrontację – dokładnie to, czego chciała uniknąć.

Nachyliła się i zaczęła odciągać Ruth na bok.

– Chodź, Ruth – powiedziała, po czym odwróciła się, by odejść.

– Hej, dziewczyno, mówię do ciebie! – wrzasnął chłopak.

Kiedy odeszła kawalek, spojrzała w tył ponad ramieniem i zauważyła, że cała piątka zeskokczyła z kamieni i zaczęła podążać jej śladem.

Scarlet zerwała się do biegu z powrotem w gąszcz uliczek, starając się odbiec jak najdalej od nich. Pomyślała o swym starciu z rzymskim żołnierzem i przez chwilę zastanawiała się, czy nie

powinna zatrzymać się i spróbować obronić.

Ale nie chciała walczyć. Nie chciała nikogo skrzywdzić. Ani jakkolwiek ryzykować. Pragnęła jedynie odszukać mamę i tatę.

Skreśliła w uliczkę, na której nie było nikogo. Obejrzała się za siebie i po chwili dostrzegła ścigającą ją grupę chłopców. Nie byli daleko i szybko nadrabiali straty. Zbyt szybko. Ich pies pędził razem z nimi. Scarlet wiedziała, że za chwilę ją dogonią. Musiała mądrze wybrać drogę, by ich zgubić.

Skreśliła za kolejny róg, mając nadzieję, że znalazła drogę ucieczki, ale w tej samej chwili serce jej stanęło.

Trafiła w ślepy zaułek.

Odwróciła się powoli i stanęła twarzą w twarz z chłopcami. Ruth przywarowała tuż obok. Byli jakieś dziesięć stóp dalej. Zwolnili nieco, kiedy zbliżyli się do niej. Nie spieszyli się, napawali chwilą. Stanęli i zaczęli się śmiać. Ich twarze wykrzywił okrutny uśmiech.

– Wygląda na to, że twoje szczęście cię opuściło, dziewczynko – powiedział stojący na czele chłopak.

Scarlet pomyślała dokładnie to samo.

# ROZDZIAŁ TRZECI

Sam obudził się z pękającą z bólu głową. Podniósł dłonie i podtrzymał głowę, starając się pozbyć nieznośnego bólu. Ale ten nie chciał ustąpić. Sam miał wrażenie, jakby cały świat właśnie walił się na niego.

Spróbował otworzyć oczy i zorientować się, gdzie był i w tej samej chwili poczuł nieznośny ból. Oślepiające słoneczne światło odbiło się od pustynnej skały, zmuszając go, by zasłonił oczy i pochylił głowę. Czuł, że leżał na skalistym, pustynnym podłożu, czuł panującą duchotę i pył przylegający do twarzy. Zwinął się w kłębek i mocniej objął głowę, pragnąc sprawić, by ból odszedł.

Zalały go powracające falą wspomnienia.

Najpierw o Polly.

Przypomniał sobie zaślubiny Caitlin. Noc, w którą oświadczył się Polly. Jej odpowiedź. Radość na jej twarzy.

Przypomniał sobie następny dzień. Jego wyprawę na polowanie. Niecierpliwość, z jaką wyczekiwał ich następnej wspólnej nocy.

Przypomniał sobie, jak ją znalazł. Na plaży. Umierającą. Jej słowa o ich dziecku.

Ogarnął go powracający falami żal. Większy, niż był w stanie znieść. Jakby okropny koszmar odgrywał się ponownie w jego myślach i nie mógł go wyłączyć. Czuł, jakby został odarty ze wszystkiego, co sprawiało, że jego życie miało sens, w jednej

wiekopomnej chwili. Odebrano mu Polly. Dziecko. Dawne życie. Żałował, że wówczas nie umarł.

Potem przypomniał sobie swą zemstę. Swój szaf. Zabicie Kyle'a.

I ten moment, kiedy wszystko się zmieniło. Przypomniał sobie, jak duch Kyle'a wniknął w jego ciało. Przypomniał sobie ten nieopisany gniew, obcego ducha i jego energię, które go opanowały i zawładnęły bez reszty. Była to chwila, kiedy Sam przestał być tym, kim był dotychczas. Stał się kimś innym.

Całkowicie otworzył oczy i wyczuł, wiedział to, że jarzyły się jasną czerwienią. Wiedział, że już do niego nie należały. Wiedział, że należały teraz do Kyle'a.

Czuł nienawiść Kyle'a, jego moc, jak krążyła w nim, w każdej cząstce jego ciała, począwszy od palców u nóg, przez nogi, ramiona, aż po głowę. Czuł jego pragnienie siania zniszczenia; pulsowało w nim, jakby obdarzone własnym życiem, jakby coś utkwiło w jego ciele i nie mógł się tego pozbyć. Miał wrażenie, że już nad sobą nie panował. Z jednej strony tęsknił za dawnym sobą, za tym, kim był. Z drugiej zaś wiedział, że już nigdy nie będzie tą samą osobą.

Usłyszał jakiś syk i stukot, i otworzył oczy. Leżał twarzą płasko na skalnych odłamkach, a kiedy podniósł wzrok, zauważył węża w odległości kilku cali, który syczał na niego.

Oczy gada wpatrywały się wprost w oczy Sama, jakby obcował z przyjacielem, wyczuwając podobną energię. Czuł, że jego zajadłość dorównywała mu – i że zamierzał za chwilę

zaatakować.

Sam jednak nie obawiał się go. Wręcz przeciwnie – uświadomił sobie, że jego własny gniew nie tylko dorównywał, ale i przewyższał rozdrażnienie węża. I miał równie szybki refleks.

W ułamku sekundy, kiedy wąż zbierał się do ataku, Sam ubiegł go: sięgnął dłonią, chwycił go za gardziel i powstrzymał od ukąszenia, zaledwie cal od własnej twarzy. Przytrzymał go przy swoich oczach i spojrział w oczy węża z tak bliska, że poczuł jego oddech. Długie kły zwierzęcia, które marzyło jedynie o tym, by zatopić je w gardle Sama, znajdowały się zaledwie o cal od niego.

Sam jednak obezwładnił go. Zaciskał coraz mocniej dłoń wyciskając z niego życie. Wkrótce wąż zawisł bezwładnie, zmiażdżony na śmierć.

Sam odchylił się i cisnął truchłem w pustynne piaski.

Skoczył na nogi i rozejrzał się po otoczeniu. Wokół leżał piach i skalne odłamki – bezkresna pustynia. Odwrócił się i zauważył dwie rzeczy: najpierw grupkę dzieci ubranych w łańchmany, przyglądających się mu z zaciekawieniem. Kiedy zwrócił się w ich stronę, rozpierzchły się i cofnęły pospiesznie, jakby zobaczyły dzikie zwierzę wstające z grobu. Sam czuł w sobie szła Kyle’a, czuł jak go przenikał i sprawiał, że miał ochotę pozabijać je wszystkie.

Lecz druga rzecz, którą zobaczył, odwróciła jego uwagę. Miejskie mury. Potężna, kamienna ściana pięła się setki stóp w górę i rozciągała w nieskończoność na boki. Sam zdał sobie

sprawę, że obudził się na obrzeżach starożytnego miasta. Przed sobą miał ogromną, sklepioną bramę, przez którą przepływał strumień ludzi ubranych w prymitywne odzienie. Nosili proste szaty, tuniki, typowe w czasach rzymskich. Żywy inwentarz tłoczył się do środka i na zewnątrz razem z ludźmi. Sam zdążył już wyczuć skwar i zgiełk panujące za tymi murami.

Zrobił kilka kroków w stronę bramy i dziatwa rozpierzchła się przed nim, jak przed jakimś potworem. Zastanawiał się, czy aż tak strasznie wyglądał, ale nie przejmował się tym. Czuł, że koniecznie musiał wejść do tego miasta i dowiedzieć się, dlaczego tutaj wylądował. Ale w przeciwieństwie do dawnego Sama, nie czuł już potrzeby zwiedzania go; ale raczej pragnął je zniszczyć, roznieść w drobny pył.

Jakaś częścią świadomości starał się otrząsnąć z tego, przywrócić dawnego Sama. Zmusił się, by pomyśleć o czymś, dzięki czemu mógłby powrócić do dawnego ja. Zmusił się, by pomyśleć o Caitlin, swojej siostrze. Ale to wspomnienie było mgliste; nie potrafił już przywołać jej twarzy, pomimo wszelkich starań. Próbował wspomnieć uczucia, którymi ją darzył, wspólną misję, ojca. Gdzieś w głębi serca wiedział, że wciąż mu na niej zależało, że nadal chciał jej pomóc.

Ta małeńka część jego jaźni wkrótce ustąpiła jednak innej, tej nikczemnej. Nie poznawał już siebie. A ten nowy Sam zmusił go, by przestał myśleć o tym i ruszył przed siebie, wprost do miasta.

Wmaszerował przez miejskie bramy, rozpychając ludzi łokciami na boki. Jakaś starsza kobiecina z koszem na głowie

znalazła się za blisko i Sam uderzył ją w ramię z taką siłą, że poleciała w bok, a jej kosz wywrócił się, rozsypując wokoło owoce.

– Hej! – wrzasnął jakiś mężczyzna. – Patrz, co zrobiłeś! Przepróż ją!

Mężczyzna podszedł do Sama, wyciągnął dłoń i bezmyślnie chwycił kurtę Sama. Powinien zorientować się, iż nigdy nie byłby w stanie jej rozpoznać, czarnej, skórzanej i obcisłej. Mężczyzna powinien uzmysłowić sobie natychmiast, że to odzienie pochodziło z innego wieku – i że Sam był ostatnią osobą, z którą powinien zadzierać.

Sam spuścił wzrok i popatrzył na dłoń mężczyzny, jak na jakiegoś owada, po czym chwycił za nadgarstek i z siłą stu mężczyzn zaczął go odwracać. Oczy człowieka rozszerzyły się ze strachu i bólu, jednak Sam wciąż przekręcał jego dłoń. W końcu mężczyzna obrócił się i upadł na kolana. Mimo to Sam dalej wykręcał mu rękę aż do chwili, kiedy usłyszał odrażające chrupnięcie, a mężczyzna wrzasnął. Jego ręka została złamana.

Sam odchylił się i dokończył dzieła, kopiąc mocno w twarz i przewracając pozbawionego świadomości mężczyznę na ziemię.

Scenie tej przyglądała się niewielka grupka przechodniów i kiedy Sam ruszył dalej, pozostawiła mu wiele wolnego miejsca. Nikt jakoś nie kwapił się znaleźć w pobliżu.

Sam poszedł dalej w stronę tłumów i wkrótce znalazł się w samym ich środku. Wtopił się w bezkresny strumień ludzkich ciał, który wypełniał miasto po brzegi. Nie był pewien, w którą

stronę się skierować, ale poczuł ogarniające go nowe pragnienie. Czuł krążącą w jego ciele chęć pożywienia się. Pragnął krwi. Zadania śmierci.

Pozwolił, by zmysły przejęły nad nim kontrolę. Czuł, jak poprowadziły go w konkretną uliczkę. Kiedy w nią skręcił, zauważył, że stopniowo się zewężała, ginęła w mroku, pięła wzwyż i była odizolowana od reszty miasta. Najwyraźniej zaczynała się tu obskurna dzielnica, a i tłum wyglądał niechlujnie i podejrzanie.

Ulicę wypełniali żebracy, pijacy i ladacznice. Sam otarł się łokciami z kilkoma szubrawymi, otyłymi, nieogolonymi i pozbawionymi niektórych zębów mężczyznami, którzy akurat napatoczyli się mu na drodze. Upewnił się, by nachylony nisko mógł zderzyć się barkami z nimi na tyle mocno, by odpadali od niego na wszystkie strony. Wszyscy mieli jednak na tyle rozsądku, by nie stawać mu na drodze, a jedynie krzyczeć z oburzenia:

– Hej!

Sam szedł dalej i wkrótce znalazł się na niewielkim placu. Na środku dostrzegł około tuzin stojących w kręgu, odwróconych plecami do niego, rozentuzjasmowanych mężczyzn. Podeszedł do nich i przepchnął się do środka, by zobaczyć, czym się tak ekscytowali.

Po środku zobaczył dwa koguty, które rozszarpały się nawzajem, całe we krwi. Sam obejrzał się i dostrzegł, jak ludzie robili zakłady, płacąc starożytnymi monetami. Walka kogutów.

Najstarszy sport na świecie. Tak wiele stuleci dzieliło go od jego czasów, a jednak w tym przypadku nic to nie zmieniło.

Miał dość. Zaczął się denerwować, musiał wywołać jakiś zamęt. Wmaszerował na środek kręgu, wprost ku obydwu ptakom. W tej samej chwili tłum zareagował krzykiem oburzenia.

Sam zignorował wszystkich, chwycił jednego koguta za gardło, podniósł wysoko i zakręcił nim nad głową. Usłyszał odgłos pęknięcia i ptak zwisał bezwładnie ze złamaną szyją w jego dłoni.

Sam poczuł, jak jego kły wydłużyły się i zatopił je w ciele koguta. Zaczął spijać jego krew, która pociekła mu po twarzy i spłynęła po policzkach. Wkrótce wyrzucił ptaka. Był wciąż nienasycony. Drugi kogut czmychnął przed nim tak szybko, jak tylko potrafił.

Tłum wlepił wzrok w Sama w wyraźnym szoku. Jednakże, były to typy spod ciemnej gwiazdy i tak łatwo przed nikim nie ustępowały. Spoglądali na Sama gniewnie, sposobiąc się do walki.

– Zniszczyłeś nasz sport – warknął jeden z nich.

– Zapłacisz za to! – wrzasnął inny.

Kilku przysadzistych mężczyzn dobyło krótkich sztyletów i rzuciło się na Sama. Sam ledwo się wzdrygnął. Widział to wszystko niejako w zwolnionym tempie. Jego wielokrotnie szybszy refleks pozwolił, by chwycił nadgarstek któregoś z nich w połowie uderzenia i wykręcił do tyłu, łamiąc mu rękę. Potem

odchylił się i kopnął mężczyznę w tors, posyłając z powrotem do kręgu.

Kiedy podszedł do niego kolejny mężczyzna, Sam rzucił się na niego i zanim ten zdążył zareagować, zatopił mu kły w gardle. Pił łapczywie, rozbryzgując krew na wszystkie strony, a mężczyzna wył z bólu. W kilka chwil wysączył z niego życie i mężczyzna padł na ziemię.

Pozostali wpatrywali się w niego z przerażeniem. W końcu dotarło do nich, że znaleźli się w obecności potwora.

Sam zrobił krok w ich kierunku, a oni odwrócili się i pognali przed siebie. Ulotnili się niczym muchy. Chwilę później Sam był jedyną osobą, która pozostała na placu.

Pokonał wszystkich. Ale to mu nie wystarczyło. Nie było końca rozlewowi krwi, śmierci i zniszczeniu, jakich pożywał. Chciał zabić każdego w tym mieście. A nawet wówczas nie miałby dość. Jego niemożność nasycenia swego pożądania irytowała go co nie miara.

Odchylił się i z twarzą zwróconą ku niebu zaryczał. Był to ryk zwierzęcia, które nareszcie wydostało się na wolność. Jego krzyk rozpaczony poszybował w górę, pod niebo i odbił się echem od kamiennych murów Jerozolimy, rozbrzmiewając głośniejsze od dzwonów i wznoszonych modłów. Na krótką chwilę zatrzęsł murami, zawładnął całym miastem – i jak było długie i szerokie, wszyscy jego mieszkańcy zatrzymali się, by posłuchać i nauczyć się bać.

W jednej chwili dowiedzieli się, że wśród nich grasował

demoniczny potwór.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Caitlin i Caleb wędrowali w dół stromym górskim zboczem w kierunku wioski Nazaret. Powierzchnia była skalista i częściej ześlizgiwali się niż szli, wzbijając kłęby kurzu. W miarę, jak szli coraz dalej, krajobraz zaczął się zmieniać i skały ustąpiły kępom zielska i sporadycznym palmom, a potem trawie. W końcu znaleźli się w oliwnym gaju, idąc wśród rzędów oliwnych drzewek i dalej, w kierunku miasta.

Caitlin przyjrzała się dokładnie gałązkom i zauważyła mnóstwo niewielkich oliwek połyskujących w słońcu. Zachwyciła się ich pięknem. Im bliżej miasta się znajdowali, tym bardziej płodne były drzewka. Caitlin spojrzała przed siebie i z punktu, w którym się znajdowała, dostrzegła widok całej doliny i miasteczka, niczym z lotu ptaka.

Nazaret trudno było nazwać miastem, jako że była to niewielka wioska usadowiona wśród potężnych dolin. Wyglądało na to, że zamieszkiwało ją kilkaset osób w kilkunastu tuzinach niewielkich, parterowych domostw postawionych ze skalnego budulca. Kilka z nich wyglądało na zbudowane z białego wapienia. W oddali Caitlin dostrzegła wieśniaków, którzy wyciosywali bloki w potężnych wapiennych kamieniołomach otaczających miasteczko. Słyszała cichy dźwięk ich młotów niesiony echem nawet na taką odległość i widziała jasny wapienny kurz unoszący się w powietrzu.

Nazaret okalał niski, wijący się mur, wysoki może na dziesięć stóp, który wyglądał staro nawet w tej chwili. W środku znajdowała się szeroka, otwarta, sklepiona brama. Nie było przy niej żadnego strażnika. Caitlin podejrzewała, że po prostu nie było takiej potrzeby; w końcu była to zaledwie niewielka miejscina położona gdzieś pośrodku całkowitego pustkowia.

Caitlin uświadomiła sobie, że zaczęła się zastanawiać, dlaczego obudzili się w tych czasach i w tym miejscu. Dlaczego w Nazaret? Wróciła myślami do przeszłości. Próbowwała przypomnieć sobie, co wiedziała o tym miejscu. Pamiętała, że kiedyś dowiedziała się czegoś o Nazaret, ale nie mogła sobie tego przypomnieć. I dlaczego w pierwszym wieku? Dlaczego tak radykalnie cofnęła się w czasie – ze średniowiecznej Szkocji aż tutaj? Zdała sobie sprawę, że zaczęła tęsknić za Europą. Nowy krajobraz wraz z palmami i pustynną spiekotą był dla niej taki obcy. Caitlin zastanawiała się przede wszystkim nad tym, czy Scarlet była gdzieś za tymi murami. Miała nadzieję – modliła się – żeby tak było. Musiała ją odszukać. Nie zazna spokoju dopóki jej nie znajdzie.

Weszła razem z Calebem przez miejską bramę z poczuciem wielkiego zniecierpliwienia. Czuła, jak jej serce biło mocno na myśl o odszukaniu Scarlet– jak również odkryciu, dlaczego akurat tutaj zostali wysłani? Czy jej Tato był tu i czekał na nią?

Kiedy wchodzili do miasteczka, uderzyło ją, jak bardzo tętniło życiem. Ulice pełne były biegających, krzyczących i bawiących się dzieci. Psy szwendały się gdzie popadnie, tak

samo jak kurczaki. Po ulicach wałęsały się owce i woły, a przy każdym domostwie widniał osiołek, bądź wielbłąd przywiązany do palika. Wieśniacy poruszali się niespiesznie, ubrani w proste tuniki i szaty, niosąc na barkach kosze z różnymi towarami. Caitlin poczuła się, jakby weszła do wehikułu czasu.

Kiedy mijali wąskie uliczki i niewielkie domostwa, ludzie zatrzymywali się i spoglądali na nich. Caitlin uświadomiła sobie, że musieli wyglądać nienaturalnie, nie z tego świata. Spojrzała w dół i zauważyła swe nowoczesne ubranie – skórzany, obcisły strój bojowy – i zaczęła się zastanawiać, co ci ludzie sobie o niej myśleli. Pewnie sądzili, że była obcym, który spadł z nieba. Nie winiła ich za to.

Przed każdym domem był ktoś, kto przygotowywał posiłek, sprzedawał towary, czy pracował w swoim rzemiośle. Minęli kilka ciesielskich rodzin, mężczyzn siedzących przed domem, piłujących, wymachujących młotkiem, wykonujących różne przedmioty – począwszy od łóżkowych ram po komody i drewniane osie do pługa. Przed jednym z domów pewien mężczyzna wznosił wielki, gruby na kilka stóp i wysoki na dziesięć krzyż. Caitlin zdała sobie sprawę, że na tym krzyżu ktoś miał być ukrzyżowany. Wzdrygnęła się i odwróciła wzrok.

Kiedy skręcili w kolejną uliczkę, całą jej stronę zajmowali kowale. Wszędzie wałały się kowadła i młoty, a metaliczny brzęk dzwonił w całej okolicy, jakby każdy kowal wtórował jakiemuś innemu. Były tam również glinianki, w których wielkie płomienie podnosiły temperaturę rozgrzanego do czerwoności

metal, z którego rzemieślnicy wykuwali podkowy, miecze oraz inne wytwory metalowej obróbki. Caitlin zauważyła twarze dzieci, czarne od sadzy, siedzących przy swoich ojcach i obserwujących ich pracę. Czuła się źle, widząc, że dzieci musiały pracować w tak młodym wieku.

Rozglądała się za Scarlet, za ojcem, za jakąkolwiek wskazówką, która wyjaśniłaby powód ich pobytu w tym miejscu – ale nie znalazła niczego.

Skręcili w kolejną uliczkę. Tym razem trakt wypełniali kamieniarze. Mężczyźni ociosywali ogromne wapienne bloki, tworząc pomniki, oraz ogromne, płaskie prasy. Na początku Caitlin nie wiedziała, do czego miały służyć.

Caleb podniósł dłoń i wskazał jedną z nich.

– To prasy do tłoczenia wina i oliwy – powiedział, jak zwykle czytając w jej myślach. – Używają ich, by miażdżyć winogrona i oliwki, i uzyskiwać z nich wino i oliwę. Widzisz te korby?

Caitlin przyjrzała się bliżej i podziwiała kunszt wykonywania podłużnych płyt z wapienia i misternych żelaznych przekładni. Była zaskoczona widokiem niezwykłych urządzeń, zważywszy na czasy i miejsce. Z równie wielkim zaskoczeniem uświadomiła sobie, na czym polegało pradawne winiarstwo. Oto była tutaj, w sięgającej tysiące lat przeszłości, a mimo to ludzie wytwarzali butelki wina i oliwy dokładnie tak, jak to miało miejsce w dwudziestym pierwszym wieku. A kiedy przyjrzała się szklanym butelkom napełnianym powoli winem i oliwą, zdała sobie sprawę, że wyglądały dosłownie jak te, których sama nieraz

używała.

Tuż obok przebiegła grupka dzieci, ganiających jedno drugie, śmiejących się i w tej samej chwili wzbite przez nie kłęby kurzu osiadły na stopach Caitlin. Spojrzała w dół i uświadomiła sobie, że ulice nie były tutaj wybrukowane – pomyślała, że była to zbyt mała miejscowość, by było ją stać na utwardzone ulice. A jednak wiedziała, że Nazaret z czegoś słynęło i nie dawało jej spokoju to, że nie mogła przypomnieć sobie, z czego. Kolejny raz pluła sobie w brodę, że nie uważała na lekcjach historii.

– To miasto, w którym żył Jezus – powiedział Caleb, czytając w jej myślach.

Caitlin poczuła, jak kolejny raz zaczerwieniła się, kiedy w tak prosty sposób pochwycił jej myśli. Nic przed nim nie ukrywała, lecz mimo to nie chciała, by odczytywał jej myśli, kiedy w grę wchodziły jej głębokie uczucia do niego. Czuła się wówczas skrępowana.

– Żyje tutaj? – spytała.

Caleb skinął głową.

– Jeśli przybyliśmy w jego czasach – powiedział. – Najwyraźniej trafiliśmy do pierwszego wieku. Widać po ich ubraniach, po architekturze. Byłem już tu kiedyś. Ciężko zapomnieć te czasy i to miejsce.

Na myśl o tym Caitlin otworzyła szeroko oczy.

– Naprawdę sądzisz, że mógłby tu być? Jezus? Że chodzi tymi ścieżkami? Teraz? W tym mieście?

Caitlin ledwie to pojmowała. Próbowwała wyobrazić sobie, jak

skręca za róg i ni stąd ni zowąd napotyka Jezusa. Ta myśl zdawała się niewyobrażalna.

Caleb zmarszczył brwi.

– Nie wiem – powiedział. – Nie wyczuwam jego obecności.

Być może rozminęliśmy się z nim.

Caitlin zaniemówiła. Rozejrzała się wokół z respektem.

*Czy mógł tu być?* zastanawiała się.

Oniemiała z wrażenia i poczuła jeszcze większe znaczenie ich misji.

– Może tu być, to ten okres – powiedział Caleb. – Ale niekoniecznie w Nazaret. Dużo podróżował. Do Betlejem. Nazaretu, Kafarnaum – i Jerozolimy, oczywiście. Nie jestem jednak pewien, czy jesteśmy dokładnie w czasach, kiedy tu był. Jeśli tak, to może być wszędzie. Izrael jest duży. Gdyby był tu, w tym mieście, wyczulibyśmy to.

– Co masz na myśli? – spytała zciekawiona Caitlin. – Jakie to uczucie?

– Nie potrafię tego wyjaśnić. Ale wiedziałabyś. Ta jego moc. Nie przypomina niczego, co kiedykolwiek doświadczyłaś.

Nagle Caitlin przyszło coś do głowy.

– *Widziałeś go kiedyś?* – zapytała.

Caleb potrząsnął głową powoli.

– Nie, nie z bliska. Raz byłem w tym samym mieście, o tej samej porze. Jego energia była przytłaczająca. Niepodobna do niczego, co kiedykolwiek czułem.

Caitlin ponownie zdumiała się, słysząc o tym, czego

świadkiem był Caleb, o tych wszystkich miejscach i chwilach, których doświadczył.

– Jest tylko jeden sposób, by się tego dowiedzieć – powiedział Caleb. – Musimy wiedzieć, który jest rok. Problem polega oczywiście na tym, że nikt nie liczył lat w sposób, w jaki my to robimy, jeszcze długo po śmierci Jezusa. Nasz rok kalendarzowy opiera się przecież na roku jego narodzin. Kiedy żył, nikt nie liczył lat według daty jego narodzin – większość ludzi nie wiedziała nawet, kim był! Kiedy więc zapytamy ludzi, który jest rok, pomyślą, że oszaleliśmy.

Caleb rozejrzał się uważniej, jakby szukając jakichś wskazówek. Caitlin postąpiła podobnie.

– Wyczuwam jednak, że jest w tych czasach – powiedział powoli Caleb. – Tylko nie tutaj.

Caitlin zlustrowała wioskę z szacunkiem.

– Ale to miasteczko wydaje się takie małe, takie proste. Nie przypomina wielkiego, biblijnego miasta, które sobie wyobrażałam. Wygląda, jak każde inne miasto położone na pustyni.

– Masz rację – odparł Caleb. – Ale właśnie tu mieszkał. Nie w jakimś wspaniałym miejscu, tylko tu, pomiędzy tymi ludźmi.

Poszli dalej, aż w końcu skręcili za róg i znaleźli się na niewielkim placu w samym centrum miasteczka. Był to prosty, mały plac, wokół którego stały niewielkie budynki, a na środku znajdowała się studnia. Caitlin rozejrzała się wokół i dostrzegła siedzących w cieniu starszych ludzi trzymających w dłoniach

trzciniowe łaski i wpatrujących się w pusty, zakurzony plac.

Zbliżyła się wraz z Calebem do studni. Caleb podniósł rękę i zaczął kręcić zardzewiałą korbę. Powoli sparszywiła lina zaczęła unosić w górę kubel z wodą.

Caitlin nabrała zimnej wody w złożone dłonie i opryskała sobie twarz. W panującej spiekocie woda przyniosła jej prawdziwa ochłodę. Opryskała twarz jeszcze raz, a potem długie włosy, przeczesując je palcami. Były brudne i tłuste. Zimna woda była niczym zbawienie. Oddałyby wszystko, aby móc wziąć prysznic. Potem nachyliła się, nabrała w dłonie kolejną porcję i wypiała. Miała sucho w gardle i woda dobrze jej zrobiła. Caleb postąpił podobnie.

Obydwoje w końcu odchyliłi się i oparli o studnię, po czym przeczesali wzrokiem plac. Nie było tu żadnych wyjątkowych budynków, żadnych wskazówek, gdzie powinni się udać.

– Więc, gdzie teraz? – spytała w końcu.

Caleb rozejrzał się, mrużąc oczy przed słońcem i zasłaniając je dłońmi. Zdawał się tak samo zdezorientowany, jak i ona.

– Nie wiem – powiedział beznamiętnym głosem. – Jestem w kropce.

– W innych czasach i miejscach – kontynuował – zazwyczaj nasze wskazówki ukryte były w jakichś kościołach, czy też klasztorach. W obecnych czasach jednak nie ma żadnych kościołów. Chrześcijaństwo nie istnieje. Nie ma żadnych chrześcijan. Dopiero po śmierci Jezusa ludzie zaczęli wokół niego tworzyć religię. W tych czasach istnieje tylko jedna religia.

Religia Jezusa: judaizm. Jezus był przecież Żydem.

Caitlin starała się to wszystko pojąć. A było to tak bardzo skomplikowane. Jeśli Jezus był Żydem, jak to sobie pomyślała, to oznaczało, że musiał modlić się w synagodze. Nagle przysłała jej pewna myśl do głowy.

– Może w takim razie najlepszym miejscem, w którym powinniśmy ich szukać, jest to, w którym Jezus się modlił. Może powinniśmy poszukać synagogi.

– Myślę, że masz rację – powiedział Caleb. Jakby nie było, wszelakie inne praktyki religijne, jeśli w ogóle można je tak nazwać, uprawiane były w tych czasach przez pogan – i skupiały się na wielbieniu bożków. Jestem pewien, że Jezus nie oddawałby czci w pogańskiej świątyni.

Caitlin rozejrzała się ponownie po mieście, mrużąc oczy i starając się wyszukać jakiś budynek przypominający synagogę. Nie znalazła jednak ani jednego. Wszystkie były prostymi, mieszkalnymi domami.

– Nic nie widzę – powiedziała. – Wszystkie budynki są według mnie podobne do siebie. Zwykłe małe domki.

– Ja też nic nie dostrzegam – powiedział Caleb.

Nastąpiła długa chwila ciszy; Caitlin starała się wszystko przemyśleć. W jej głowie kotłowało się od wszelkich możliwych rozwiązań.

– Myślisz, że mój Tata i tarcza wiążą się w jakiś sposób z tym wszystkim? – spytała. – Myślisz, że jeśli pójdziemy do miejsc, w których był Jezus, to doprowadzi nas to do mojego Taty?

Caleb zwięził oczy, jakby namyślając się nad odpowiedzią przez dłuższy czas.

– Nie wiem – odparł w końcu. – Ale najwyraźniej twój Tata strzeże wielkiej tajemnicy. Tajemnicy, która ma znaczenie nie tylko dla wampirzego rodzaju, ale dla całej ludzkości. Tarczy, czy też broni, która zmieni naturę wszystkich ludzi już na zawsze. Musi być niezwykła. I wydaje mi się, że może pomóc nam dotrzeć do twojego ojca tylko bardzo potężna osoba. Jak Jezus. Według mnie, to by miało sens. Być może, żeby znaleźć jednego, musimy najpierw odnaleźć drugiego. Przecież to twój krzyżyk otworzył zamki do kluczy i sprowadził nas tutaj. I prawie wszystkie wskazówki znaleźliśmy w kościołach i klasztorach.

Caitlin starała się to pojąć. Czy było to możliwe, by jej Tata znał Jezusa? Czy był jednym z jego uczniów? Myśl ta była oszałamiająca, a wrażenie tajemniczości związanej z jego osobą tylko się pogłębiło.

Usiadła na studni, rozglądając się po sennej mieścinie, całkiem zbита z tropu. Nie miała pojęcia, gdzie powinna zacząć poszukiwania. Nic nie wyróżniało się jakoś szczególnie w całej okolicy. Co więcej, była coraz bardziej zdesperowana, by odszukać Scarlet. Owszem, pragnęła znaleźć swego ojca; czuła, jak cztery klucze praktycznie płonęły w jej kieszeni. Nie widziała jednak żadnej wskazówki, by ich użyć – a ciężko jej było skupić się na ojcu, kiedy myśli wypełniała Scarlet. Świadomość tego, że była tam gdzieś sama, samiutka, rozdzierała jej serce. Kto wie, może akurat znajdowała się w

jakimś niebezpieczeństwie?

Choć z drugiej strony, nie wiedziała również, gdzie szukać Scarlet. Czowała przemożną bezradność.

Nagle w bramie pojawił się pastuch i powoli skierował się na plac, a za nim podążały jego owce. Miał na sobie długą białą szatę i zakrywający głowę przed słońcem kaptur. Zmierzał w ich kierunku, podpierając się kosturem. Caitlin pomyślała na początku, że szedł do nich, ale potem zdała sobie z czegoś sprawę: szedł do studni. Szedł tu jedynie po to, by się napić, a oni akurat stali na drodze.

Kiedy podszedł bliżej, owce stłoczyły się wokół niego, wypełniając plac i kierując się w stronę studni. Musiały wiedzieć, że była pora pojenia. Po chwili Caitlin i Caleb znaleźli się pośród stada. Łagodne zwierzęta torowały sobie drogę do wody. Powietrze wypełniło ich niecierpliwe beczenie, ponagające pasterza, by się nimi zajął.

Caitlin i Caleb usunęli się z drogi, kiedy pasterz podszedł do studni i zaczął kręcić zardzewiałą korbą, podnosząc kubeł z wodą. Zdjął kaptur i sięgnął po wodę.

Caitlin była zaskoczona, kiedy zobaczyła, że był całkiem młody. Miał wielką, gęstą jasną czuprynę, taką samą brodę i jasne, niebieskie oczy. Uśmiechnął się i Caitlin zauważyła na jego twarzy, wokół oczu, zmarszczki od słońca. Poczwała też emanujące z niego ciepło i życzliwość.

Chwycił przelewający się kubeł wody i mimo potu na czole, mimo, że wyglądał na spragnionego, odwrócił się i wlał pierwszą

porcję do koryta znajdującego się u podstawy studni. Owce stłoczyły się wokół niego, becząc i rozpychając się podczas picia.

Caitlin ogarnęło osobliwe przeczucie, że być może ten mężczyzna coś wiedział, że być może pojawił się na ich drodze nie bez powodu. Pomyślała, że jeśli Jezus żył, być może ten mężczyzna słyszał coś o nim.

Poczuła zdenerwowanie i odchrząknęła.

– Przepraszam? – powiedziała.

Mężczyzna odwrócił się i spojrzał na nią, a ona poczuła moc skrytą w jego oczach.

– Szukamy kogoś. Zastanawiam się, czy wiesz, gdzie mieszka.

Mężczyzna zmrużył oczy i w tej samej chwili Caitlin odniosła wrażenie, że przejrzał ją na wylot. To było niesamowite.

– Mieszka – odparł mężczyzna, jakby czytał w jej myślach. – Lecz już go tu nie ma.

Caitlin nie mogła w to uwierzyć. To była prawda.

– Dokąd poszedł? – spytał Caleb. Caitlin usłyszała w jego głosie wielkie przejęcie. Wyczuła, jak rozpaczliwie zależało mu, by się tego dowiedzieć.

Mężczyzna przeniósł wzrok na Caleba.

– Cóż, do Galilei – odparł mężczyzna, jakby to było coś oczywistego. – Nad morze.

Caleb zmrużył oczy.

– Kafarnaum? – spytał niepewnie Caleb.

Mężczyzna pokiwał głową.

Caleb otworzył szeroko oczy, uzmysłowiwszy coś sobie.

– Wielu za nim podąży – powiedział tajemniczo pasterz. – Szukajcie, a znajdziecie.

Po chwili mężczyzna spuścił głowę, odwrócił się, by odejść, a jego owce wraz z nim. Wkrótce pokonał cały plac.

Caitlin nie mogła pozwolić mu odejść. Jeszcze nie. Musiała dowiedzieć się więcej. I wyczuwała, że ukrywał coś przed nią.

– Zaczekaj! – krzyknęła.

Pasterz zatrzymał się i odwrócił, po czym spojrzał na nią.

– Znasz mojego ojca? – spytała.

Ku jej zaskoczeniu mężczyzna skinął głową powoli.

– Gdzie jest? – spytała Caitlin.

– Tego musisz sama się dowiedzieć – powiedział. – To ty jesteś tą, która niesie klucze.

– Kim on jest? – spytała, rozpaczliwie chcąc się tego dowiedzieć.

Mężczyzna pokręcił powoli głową.

– Jestem zaledwie pasterzem, którego mijasz po drodze.

– Ale ja nawet nie wiem, gdzie szukać! – odparła zdesperowana Caitlin. – Proszę, *muszę* go znaleźć.

Pasterz uśmiechnął się powoli.

– Zawsze tam, gdzie akurat jesteś – powiedział.

To powiedziawszy, nakrył głowę kapturem, odwrócił się i przeszedł przez plac. Minał sklepioną bramę i chwilę później znikł razem ze swymi owcami.

*Zawsze tam, gdzie akurat jesteś.*

Słowa mężczyzny dzwoniły jej w uszach. W jakiś sposób

wyczuwała, że nie była to tylko alegoria. Im więcej się nad tym zastanawiała, tym bardziej czuła, że powinna potraktować je dosłownie. Jakby mówił jej, że wskazówka była dokładnie tu, gdzie się teraz znajdowała.

Odwróciła się nagle i przeszukała studnię, tę, na której przed chwilą siedzieli. Tym razem coś wyczuwała.

*Zawsze tam, gdzie akurat jesteś.*

Ukłękła i przesunęła dłońmi po starym, gładkim kamiennym murku. Przeszukała całą jego powierzchnię, będąc bardziej niż pewną, że coś tam było, że dotarła do wskazówki.

– Co robisz? – spytał Caleb.

Caitlin przeszukiwała gorączkowo każdą szczelinę, każde pęknięcie w skalistym budulcu, czując, że była na dobrym tropie.

W końcu, kiedy dotarła do połowy studni, zatrzymała się. Znalazła pęknięcie, które było nieco większe od pozostałych. Wystarczająco duże, by wsunęła tam swój palec. Otaczający je kamień był nieco zbyt gładki, a otwór za duży.

Caitlin sięgnęła i spróbowała podważyć kamień. Wkrótce zaczął się poruszać. Obluzowała go jeszcze bardziej, aż wydobyla go z podstawy studni. Ku jej zdumieniu znajdowała się tam niewielka skrytka.

Caleb podszedł bliżej i nachylił się nad nią, kiedy ona sięgnęła w dół mrocznego otworu. Poczowała coś zimnego i metalowego i powoli wyjęła na zewnątrz.

Podniosła dłoń do światła i wyprostowała palce.

Nie mogła uwierzyć w to, co zobaczyła.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Scarlet stała wraz z Ruth na końcu ślepej uliczki, odwrócona tyłem do muru i obserwowała ze strachem grupkę łobuzów, którzy szczuli na nią swego psa. Chwilę później ogromny, dziki pies rzucił się na nią, chcąc zatopić kły w jej szyi. Wszystko działo się tak szybko, że Scarlet nie miała pojęcia, co robić.

Zanim zdążyła zareagować, Ruth nagle warknęła i zaatakowała psa. Skoczyła w powietrze i starła się z nim w pół lotu, zatapiając mu kły w krtani. Wylądowała na nim, przyszpilając do ziemi. Pies musiał być dwukrotnie większy od niej, a jednak Ruth zdołała przygwoździć go bez trudu i nie pozwoliła mu się podnieść. Zaciskała kły z całych sił, aż w końcu pies przestał walczyć i padł.

– Ty mała suko! – krzyknął stojący na czele grupy chłopak. Był wściekły.

Wyskoczył przed resztę i rzucił się na Ruth. Podniósł naostrzony na jednym końcu, niczym włócznia, kij i pchnął w odsłonięty kark Ruth.

Zadziałał refleks i Scarlet ruszyła z miejsca. Nie namyślając się nawet, pognąła w kierunku chłopca, wyciągnęła rękę i chwyciła kij w powietrzu, tuż zanim uderzył Ruth. Potem pociągnęła chłopaka do siebie, odchyliła się i kopnęła mocno w żebra.

Zasłabł, a ona kopnęła go ponownie, tym razem w twarz z

półobrotu. Obrócił się i wylądował twarzą na kamieniach.

Ruth odwróciła się i natarła na grupkę chłopców. Skoczyła w powietrzu i zatopiła kły w szyi jednego z nich, przygniatając go do ziemi. Pozostało już tylko trzech.

Scarlet stała i obserwowała ich, kiedy nagle owładnęło nią jakieś nowe uczucie. Nie bała się już; nie chciała uciekać przed tymi chłopakami; nie musiała już tchórzyć i szukać kryjówki; nie potrzebowała ochrony swoich rodziców.

Coś w niej pękło, przekroczyła niewidzialną granicę, pokonała punkt zwrotny. Pierwszy raz w życiu poczuła, że nikt nie był jej potrzebny. Wystarczyła ona sama. I zamiast obawiać się nieznanego, napawała się swą mocą.

Czuła przepętniający ją gniew, jak wzrastał od palców u nóg przez całe ciało aż po skórę głowy. Był niczym energetyzujące uczucie, którego nie rozumiała, którego nigdy dotąd jeszcze nie doświadczyła. Nie chciała już uciekać przed tymi chłopakami. Nie zamierzała również pozwolić, by im się upiekło.

W tej chwili pragnęła jednego, zemsty.

Pozostała trójka chłopców patrzyła na nią w szoku, kiedy nagle na nich natarła. Wszystko stało się szybko, ledwie zdążyła to pojąć. Jej refleks był znacznie szybszy od ich poczynań. Miała wrażenie, że poruszali się w zwolnionym tempie.

Skoczyła w powietrze, wyżej niż kiedykolwiek i kopnęła chłopaka w środku, lądując dwoma stopami na jego torsie. Odleciał w tył przez uliczkę niczym kula armatnia, wyrznął w kamienny mur i padł na ziemię.

Zanim pozostała dwójka zdążyła zareagować, odwróciła się i uderzyła jednego łokciem w twarz, po czym okręciła się i kopnęła drugiego w splot słoneczny. Obaj upadli na ziemię, pozbawieni przytomności.

Scarlet stała przy nich razem z Ruth i ciężko oddychała. Rozejrzała się wokół i zobaczyła wszystkich chłopców leżących bez ruchu i bezładnie na ziemi. I wówczas uprzytomniła sobie, że to ona była zwyciężcą.

Nie była już tą samą Scarlet, co wcześniej.

\*

Włączyła się wraz z Ruth po uliczkach już od kilku godzin, z każdą chwilą zwiększając odległość między nimi a tamtymi chłopakami. Skręcała w uliczki w upale, tracąc poczucie orientacji w istnym labiryncie bocznych uliczek starego Jeruzalem. Południowe słońce prażyło i sprawiało, że zaczynała majaczyć, również z powodu braku pożywienia i wody. Widziała, że Ruth dyszała ciężko, kiedy lawirowały przez tłumy; widziała, że Ruth również cierpiała.

Jakieś dziecko wyminęło Ruth, chwyciło jej ogon i szarpnęło zartobliwie, jednak nieco za mocno. Ruth odwróciła się i kłapnęła zębami, warcząc i obnażając kły. Dziecko krzyknęło, rozplakało się i uciekło. Zachowanie Ruth było do niej niepodobne; zazwyczaj była bardziej tolerancyjna. Wydawało się, że to upał i głód dawały się jej we znaki. W jakiś sposób

przemawiał też przez nią gniew i frustracja Scarlet.

Bez względu na to, jak bardzo się starała, nie potrafiła pozbyć się resztek gniewu. Jakby coś zostało w niej uwolnione i nie umiała nad tym zapanować. Czuła, jak w jej żyłach tętniła krew, jak pulsował gniew i kiedy mijała poszczególnych sprzedawców oferujących różnego rodzaju żywność, wiedziała, że nie było ją na nic stać i jej gniew rósł jeszcze bardziej. Zaczynała również zdawać sobie sprawę, że to, czego doświadczała, intensywne uczucie głodu, nie było takim zwykłym głodem. Było w tym coś jeszcze. Coś głębszego, bardziej pierwotnego. Nie pragnęła jedynie pożywienia. Łaknęła krwi. Musiała się pożywić.

Nie rozumiała, co się z nią działo i nie wiedziała, jak sobie z tym poradzić. Wyczuła węchem mięso i precyzyjnie się przez tłum w tym kierunku. Ruth prześliznęła się tuż za nią.

Scarlet przepchała się łokciami do przodu i w tej samej chwili jakiś niemły mężczyzna popchnął ją do tyłu.

– Hej, dziewczyno, uważaj, gdzie idziesz! – burknął.

Nie myśląc nawet, Scarlet odwróciła się i popchnęła go również. Był dwukrotnie od niej większy, ale odleciał w tył, wyracając kilka stoisk z owocami.

Zerwał się na nogi. Był zszokowany i wpatrywał się w Scarlet, próbując zrozumieć, jak taka dziewczynka mogła w ten sposób go obezwładnić. Potem, ze strachem wymalowanym na twarzy, rozsądnie odwrócił się i odszedł pospiesznie.

Sprzedawca spojrzał na Scarlet gniewnie, wyczuwając kłopoty.

– Chcesz mięsa? – warknął. – Masz pieniądze, by za nie zapłacić?

Ruth nie zdołała się jednak opanować. Rzuciła się przed siebie i zatopiła kły w ogromnym kawale mięsa, oderwała porcję i połknęła. Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, rzuciła się jeszcze raz, zamierzając oderwać kolejny kawałek.

Tym razem handlarz opuścił dłoń, zamierzając z całej siły uderzyć Ruth w nos.

Scarlet wyczuła jednak nadchodzący cios. Coś dziwnego działo się z jej poczuciem szybkości i mijającego czasu. Kiedy dłoń handlarza zaczęła opadać, Scarlet zauważyła, jak jej własna dłoń wystrzeliła, niemal bez jej udziału, i chwyciła nadgarstek mężczyzny zanim zdążył uderzyć Ruth.

Sprzedawca spojrział na Scarlet z wybałuszonymi oczyma, szokowany, że tak niewielka dziewczynka mogła posiadać tak silny chwyt. Scarlet ścisnęła mu nadgarstek i wzmocniła swój chwyt tak bardzo, że jego cała ręka zaczęła się trząść. Uświadomiła sobie, że patrzyła na mężczyznę gniewnie, nie będąc w stanie zapanować nad swą wściekłością.

– Nie waż się dotykać mojego wilka – warknęła.

– Prze... praszam – powiedział mężczyzna z trzęsącą się z bólu ręką i szeroko otwartymi ze strachu oczami.

W końcu Scarlet puściła go i pospiesznie odeszła od jego stoiska z Ruth u boku. Kiedy umykała, oby jak najdalej od mężczyzny, usłyszała za sobą gwizd, a potem szaleńcze okrzyki wzywające strażę.

– Chodźmy, Ruth! – powiedziała Scarlet i obie skierowały się uliczką przed siebie, ginąc w tłumie. Przynajmniej Ruth już coś zjadła.

Jednakże głód Scarlet był przytłaczający i nie miała pojęcia, jak długo mogła go jeszcze znosić. Nie rozumiała tego, co się z nią działo, ale kiedy szły kolejnymi uliczkami, zdała sobie sprawę, że przyglądała się ludzkim szyjom. Skupiała wzrok na ich żyłach, widziała, pulsującą w nich krew. Zaczęła oblizywać wargi, chcąc – pragnąc – zatopić w nich swoje zęby. Rozmarzyła się, kiedy przyszedł jej do głowy obraz, jak pija ich krew. Zaczęła wyobrażać sobie, jakie to uczucie, kiedy krew spływa jej do gardła. Nie rozumiała tego. Czy była jeszcze człowiekiem? Czy raczej stawała się dzikim zwierzęciem?

Scarlet nie chciała nikogo skrzywdzić. Starła się racjonalnie powstrzymać od tego, czego nie rozumiała.

Ale fizycznie, coś przejmowało nad nią kontrolę. Wzrastało od stóp, przez nogi, tułów, aż po czubek głowy i koniuszki palców. Pożądanie. Niepowstrzymane, niezaspokojone pragnienie. Przytłaczało jej myśli, mówiło, co ma myśleć, jak reagować.

Nagle Scarlet coś zauważyła: w oddali, za nią, pojawiła się grupka rzymskich żołnierzy, którzy chcieli ją dogonić. Jej nowy, super czuły słuch ostrzegł ją, pozwalając jej usłyszeć odgłos ich sandałów uderzających o skaliste podłoże.

Dźwięk ich sandałów uderzających o ziemię zirytował ją tylko jeszcze bardziej; stopił się w jej głowie z krzykami

handlarzy, śmiechem dzieci, szczekaniem psów... Zaczynała mieć tego wszystkiego dość. Jej słuch stał się zbyt wyostrzony i ta cała kakofonia rozdrażniła ją. Słońce również jakby mocniej przypiekało, jakby skupiło swe promienie wyłącznie na niej. Zbyt wiele było tego wszystkiego naraz. Miała wrażenie, że znalazła się pod mikroskopem świata i miała za chwilę wybuchnąć.

Nagle odchyliła się, przepętniona furją, i poczuła w zębach nieznane sobie doznanie. Poczuła, jak jej siekacze wydłużyły się, poczuła długie ostre kły wyrastające spośród nich. Nie знаła tego uczucia, lecz wiedziała, że ulegała przemianie w coś, czego nie rozpoznawała, ani nie kontrolowała. Nagle zauważyła wielkiego, otyłego, pijanego mężczyznę, który szedł uliczką, potykając się co chwilę. Scarlet przeczuwała, że albo się pożywi, albo umrze tu na miejscu. A coś w niej chciało przetrwać mimo wszystko.

Usłyszała swój warkot i doznała szoku. Dźwięk ten, tak pierwotny, zdumiał ją. Poczuła się, jakby była poza swym ciałem, kiedy odbiła się od ziemi i skoczyła na mężczyznę. Widziała w zwolnionym tempie, jak odwrócił się do niej z otwartymi szeroko ze strachu oczyma. Poczuła, jak jej kły wbiły się w jego ciało, w żyły w jego szyi. Chwilę później poczuła jego gorącą krew spływającą jej do gardła, napełniającą jej ciało.

Chciała przerwać, pozwolić temu mężczyźnie odejść. Ale nie potrafiła. Potrzebowała tego. Musiała przetrwać.

Musiała się pożywić.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Sam pędził ulicami Jerozolimy, warcząc, cały czerwony z wściekłości. Chciał niszczyć, rozedrzeć wszystko w zasięgu wzroku na strzępy. Kiedy przebiegł obok rzędu stoisk handlarzy, wystawił rękę i zmiotł ich budki, przewracając je niczym klocki domina. Rozmyślnie zderzał się z ludźmi, uderzając ich z całych sił i wyrzucając w powietrze jak popadnie. Był niczym kula niosąca zniszczenie, nad którą nikt nie panował, która toczyła się ulicą, wywracając wszystko na swojej drodze.

Zapanował chaos; rozległy się krzyki. Ludzie zaczęli zwracać na niego uwagę i natychmiast uciekać, uskakiwać mu z drogi. Był niczym taran niosący zniszczenie.

Słońce doprowadzało go do szału. Lało żarem na głowę, dopiekając do żywego, przepelniając go coraz większym szalem. Nie wiedział, czym był prawdziwy gniew, aż do tej chwili. Zdawać by się mogło, że nic nie było w stanie go zaspokoić.

Zobaczył wysokiego, szczupłego mężczyznę i rzucił się na niego, zatapiając mu kły w szyi. Zrobił to w ułamku sekundy. Wyssał krew, po czym ruszył pospiesznie dalej i zatopił kły w szyi kolejnej ofiary. Szedł od jednej osoby do drugiej, zatapiając kły i wysysając z nich krew. Poruszał się tak szybko, że nikt nie miał czasu na reakcję. Wszyscy osuwali się na ziemię, pozostawiając za Samem usłany ciałami szlak. Wpadł w głodowy szal i czuł, jak jego krew pęczniała, zmieszana z ich krwią. A

mimo to, wciąż było mu mało.

Słońce doprowadzało go na skraj obłędu. Musiał schronić się w cieniu i to szybko. Zauważył w oddali wielki budynek, elegancki pałac zbudowany z wapienia, z filarami i ogromnymi sklepionymi drzwiami. Nie namyślając się, przeszedł plac i wpadł do środka, wyważywszy drzwi kopniakiem.

Wewnątrz było chłodniej i Sam w końcu mógł z powrotem oddychać. Wystarczyło pozbyć się słońca znad głowy, by poczuć wielką różnicę. Mógł otworzyć oczy, które powoli przystosowały się do panujących tu warunków.

Wpatrywały się w niego ze strachem dziesiątki zaskoczonych ludzi. Większość siedziała w niewielkich basenach, pojedynczych baliach, inni zaś przechadzali się wokół boso po kamiennej posadzce. Wszyscy byli nago. Wówczas Sam zdał sobie z tego sprawę: trafił do łaźni. Rzymskiej łaźni.

Sklepiony strop znajdował się wysoko i wpuszczał do środka światło, a wokoło stały wielkie kolumny. Na podłodze leżał lśniący marmur, a całą powierzchnię sali wypełniały niewielkie baseniki. Ludzie wylegiwali się w nich, najwyraźniej oddając się relaksowi.

A przynajmniej do chwili, kiedy zobaczyli Sama. Natychmiast usiedli wyprostowani, a na ich twarzach zagościł strach.

Sam nienawidził tych ludzi – leniwych bogaczy objających się tu, jakby nie dotyczyło ich żadne zmartwienie tego świata. Zamierzał sprawić, by za to zapłacili. Odrzucił głowę do tyłu i zaryczał.

Większość miała na tyle rozsądku, by czmychnąć przed nim; porwali swe ręczniki i szaty i starali się wydostać stąd jak najszybciej.

Ale nie mieli szans. Sam runął do przodu, rzucił się na pierwszą kobietę z brzegu i zatopił zęby w jej szyi. Wyssał krew, a ona upadła na ziemię i potoczyła do basenu, zabarwiając wodę na czerwono.

Sam ponawiał swój atak, skacząc od jednej ofiary do drugiej, nie zważając na płeć. Wkrótce łaźnię wypełniły zwłoki i ciała unoszące się na zabarwionej na czerwono wodzie.

Nagle rozległo się uderzenie w drzwi i Sam odwrócił się na pięcie, by zobaczyć, kto to.

Drzwi wypełniały tuziny rzymskich żołnierzy. Nosili oficjalny ubiór – krótkie tuniki, sandały, hełmy z piórami – a w dłoniach dzierżyli tarcze i krótkie miecze. Niektórzy mieli też łuki i strzały. Naciągnęli cięciwy i wycelowali w Sama.

– Zostań na miejscu! – wrzasnął ich dowódca.

Sam zawarczał, odwrócił się i podniósł, ukazując się im w całej okazałości, po czym ruszył na nich.

Żołnierze zaatakowali. Nadleciały tuziny strzał wycelowanych w niego. Sam widział je w zwolnionym tempie, jak lśniły srebrne groty zmierzające wprost ku niemu.

Ale on był szybszy nawet od tych strzał. Zanim do niego dotarły, był już wysoko w powietrzu, skacząc i wywijając nad nimi salto. Z łatwością pokonał odległość całej sali – czterdzieści stóp – zanim jeszcze łucznicy puścili cięciwy.

Sam runął na nich z góry wyprostowanymi nogami, uderzając stojącego na środku żołnierza z taką siłą, że powalił ze sobą cały tłum, niczym klocki domina. Tuzin żołnierzy znalazł się nagle na ziemi.

Zanim pozostali zdążyli zareagować, Sam wyrwał dwa miecze z rąk dwóch żołnierzy. Zaczął obracać się i siec wszystkich wkoło.

Uderzał z zatrważającym skutkiem. Odrąbywał głowy jedna po drugiej, po czym odwrócił się i tych, którzy przeżyli, dźgał mieczem prosto w serce. Przedzierał się przez tłum niczym nóż przez masło. W kilka sekund żołnierze zwalili się na ziemię bez życia.

Sam opadł na kolana i bez opamiętania spijał krew z ich serc. Utrzymywał się na rękach i kolanach, i zgarbiony niczym jakaś bestia, pławił się w ich krwi, cały czas próbując nasycić swój gniew, swój niepoohamowany szał.

Skończył, ale wciąż nie czuł zaspokojenia. Miał wrażenie, że musiał pobić całe armie, wybić masy ludzi. Chciał ucztować tygodniami, a nawet wówczas, nie miałby dość.

– SAMSONIE! – wrzasnął dziwny kobiecy głos.

Sam zatrzymał się, niczym wrośnięty w ziemię. Był to głos, którego od wieków nie słyszał, którego niemal zapomniał, którego już nigdy nie spodziewał się usłyszeć.

Tylko jedna osoba na tym świecie nazywała go w ten sposób: *Samson*.

Był to głos jego stwórcy.

Oto stała nad nim i spoglądała na niego z góry z uśmiechem na zachwycającej twarzy – jego pierwsza prawdziwa miłość.  
Oto była – Samantha.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Caitlin i Caleb lecieli razem po czystym, niebieskim, pustynnym niebie, kierując się na północ ponad ziemiami Izraela, w stronę morza. Poniżej rozpościerały się ziemie i zmieniający się krajobraz, który Caitlin obserwowała w trakcie lotu. Rozległe połacie pustyni pokrywał spieczony słońcem piach poprzetykany skałami, głazami, wzniesieniami i jaskiniami. Nie było prawie żadnych ludzi, nie licząc sporadycznych pasterzy ubranych od stóp do głów na biało, z kapturem zasłaniającym głowę przed słońcem i stadem w odwodzie.

Kiedy dotarli wystarczająco daleko, teren zaczął się zmieniać. Pustynia ustąpiła miejsca rozległym wzgórzom, a i kolorystyka również się zmieniła – z brudnego brązowego na żywy zielony. Krajobraz wzbogacały położone tu i ówdzie oliwne gaje i winnice. Mimo to, wciąż nie było tu zbyt wielu ludzi.

Caitlin wróciła myślami do swego znaleziska w Nazaret. Wewnątrz studni. Ze zdziwieniem odkryła pojedynczy, drogocenny przedmiot, który trzymała teraz w dłoni: złotą gwiazdę Dawida, rozmiarem dorównującą jej dłoni. W poprzek gwiazdy wyryto niewielkim, starodawnym pismem jedno słowo: *Kafarnaum*.

Dla nich obydwu jasne było, że to wiadomość, która mówiła im, gdzie powinni się dalej udać. *Ale dlaczego Kafarnaum?* zastanawiała się Caitlin.

Wiedziała dzięki Calebowi, że Jezus spędził tam jakiś czas. Czy to miało znaczyć, że czekał tam teraz na nich? I czy jej Tata również tam był? I, odważyła się ludzi taką nadzieją, że Scarlet również?

Przeczesała wzrokiem okolice poniżej. Była zdumiona, jak słabo zaludniony był w tych czasach Izrael. Była zaskoczona, kiedy przyszło jej przelecieć nad jakimś domostwem, zważywszy, że tak niewiele ich się tu znajdowało. To wciąż były rolnicze, opustoszałe tereny. Jedyne miasta, jakie tu widziała, przypominały raczej miejskie osady, a i te były prymitywne, zabudowane jedno, góra dwukondygnacyjnymi budynkami, w większości kamiennymi. Co tu dopiero mówić o brukowanych ulicach, których również tutaj jeszcze nie widziała.

Caleb sfrunął obok niej i chwycił jej dłoń. Dobrze było poczuć jego dotyk. Mimowolnie zaczęła się zastanawiać, po raz nie wiadomo który, dlaczego trafili do tych czasów i tego miejsca. Tak daleko w przeszłość. Takie odległe miejsce. Tak odmienne od Szkocji, od wszystkiego, co znała.

Głęboko w sercu czuła, że był to już ostatni przystanek w jej podróży. Tu. W Izraelu. Miejsce to, jak i ten okres, pałało wielką mocą. Wyczuwała energię emanującą tu niemal ze wszystkiego. Wszystko wydawało jej się natchnięte duchem, jakby chodziła, żyła i oddychała wewnątrz potężnego energetycznego pola. Wiedziała, że czekało ją coś doniosłego, ale nie wiedziała, co. Czy jej ojciec rzeczywiście tu był? Czy kiedykolwiek miała go odnaleźć? To było takie frustrujące. Miała wszystkie cztery

klucze. Powinien tu być, pomyślała, powinien tu na nią czekać. Dlaczego musiała nadal go szukać w ten sposób?

Jednak jeszcze bardziej dokuczały jej myśli o Scarlet. Zaglądała w każde mijane po drodze miejsce, szukając jakichkolwiek śladów obecności jej, czy też Ruth. Przez chwilę przyszło jej nawet na myśl, że Scarlet nie przeżyła podróży – ale szybko odepchnęła tę myśl, zmuszając się, by porzucić tak mroczny scenariusz. Nie mogła znieść myśli o życiu, w którym nie byłoby Scarlet. Gdyby dowiedziała się, że Scarlet rzeczywiście odeszła, nie wiedziała, czy dałaby radę dalej żyć.

Caitlin poczuła gorejącą w dłoni Gwiazdę Dawida i ponownie pomyślała o tym, dokąd zmierzali. Żałowała, że nie wiedziała nic więcej o życiu Jezusa. Żałowała, że nie czytała Biblii uważniej w czasie dorastania. Starła się przypomnieć coś sobie, ale były to jedynie podstawowe informacje: Jezus spędzał czas w czterech miejscowościach: Betlejem, Nazarecie, Kafarnaum i Jerozolimie. Właśnie opuścili Nazaret i byli w drodze do Kafarnaum.

Podświadomie zaczęła się zastanawiać, czy nie poszukiwali jakiegoś skarbu, podążając jego tropem; może miał jakąś wskazówkę – on, albo jeden z jego wyznawców; gdzie był jej Tato i gdzie była tarcza. Ponownie przyszło jej do głowy pytanie: w jaki sposób mogli być ze sobą związani? Pomyślała o tych wszystkich kościołach i klasztorach, które odwiedziła w ciągu stuleci i poczuła, że istotnie był jakiś związek. Nie była tylko pewna, jaki.

Jedyną rzeczą, którą wiedziała na temat Kafarnaum było to, że ponoć była to niewielka, zwykła, rybacka wioska w Galilei, położona na północnozachodnich obrzeżach Izraela. Nie minęli jednak po drodze żadnych miast od wielu godzin – w gruncie rzeczy nie zauważyli ani jednej żywej duszy – i nie widziała też żadnych oznak wody – a tym bardziej morza.

Potem, właśnie kiedy o tym myślała, przelecieli nad szczytem wzniesienia, a kiedy minęli wierzchołek, jej oczom ukazała się druga strona doliny. I aż dech jej w piersiach zaparło. Przed nimi rozpościerało się bezkresne, lśniące morze. Miało ciemny, ciemniejszy niż Caitlin kiedykolwiek widziała, błękitny odcień i wręcz błyszczało w słonecznym świetle, niczym skrzynia ze skarbami. Otaczał je cudowny brzeg usypany z białego piasku, o który rozbijały się morskie fale jak okiem sięgnąć.

Caitlin poczuła podekscytowanie. Lecieli w dobrym kierunku; jeśli będą trzymać się linii brzegu, to z pewnością trafią do Kafarnaum.

– Tam – odezwał się Caleb.

Podążyła wzrokiem za jego palcem, mrużąc oczy przed słońcem i spoglądając na horyzont. Ledwie to zauważyła: w oddali leżała niewielka wioska. Nie przypominała miasta, ani nawet miejskiej osady. Znajdowały się tam ze dwa tuziny domostw i duża budowla położona wzdłuż brzegowej linii. Kiedy zbliżyli się nieco, Caitlin przymrużyła oczy i przyjrzała się lepiej, lecz nie zauważyła niemal nikogo: na ulicach było niewielu przechodniów. Zastanawiała się, czy powodem tego

była południowa pora, czy też wieś była niezamieszkała.

Szukała wzrokiem jakichkolwiek oznak obecności Jezusa, lecz niczego nie zauważyła. Co ważniejsze, nie wyczuła go. Jeśli to, co powiedział jej Caleb było prawdą, to wyczułaby jego energię z daleka. A nie wyczuwała żadnej niezwyklej energii. I ponownie zaczęła się zastanawiać, czy byli we właściwym miejscu i czasie. Może tamten mężczyzna się mylił: może Jezus umarł już lata temu, albo wcale się jeszcze nie narodził.

Caleb nagle zanurkował w kierunku miasta i Caitlin poleciała za nim. Znaleźli jakieś nierzucające się w oczy miejsce do wylądowania, poza murami wioski, w oliwnym gaju. Potem weszli przez bramę.

Szli niewielkimi, zakurzonymi, wiejskimi uliczkami. Było gorąco. Wszystko prażyło się w słońcu. Nieliczni wieśniacy, którzy przechadzali się wolnym krokiem, ledwie zwracali na nich uwagę; zdawali się jedynie zainteresowani znalezieniem jakiegoś cienia, wachlowaniem dla ochłody. Jakaś stara kobiecina podeszła do miejscowej studni, uniosła wielką łyżkę do ust i zaczęła pić. Później podniosła rękę i starła pot z czoła.

W miarę jak przemierzali kolejne uliczki, miejsce to coraz bardziej zdawało się opuszczone. Caitlin przyglądała się bacznie, szukając jakiegoś znaku, czegokolwiek, co mogłoby wskazać do niego drogę, jakiegokolwiek znaku obecności Jezusa, lub jej ojca, czy tarczy, albo Scarlet – ale niczego nie znalazła.

Odwróciła się do Caleba.

– I co teraz? – spytała.

Caleb spojrział na nią nieobecny wzrokiem. Wydawał się na równi z nią zagubiony.

Caitlin odwróciła się i kiedy objęła całą wieś wzrokiem, lustrując jej mury i ubogą architekturę, zauważyła wąską, dobrze wydeptaną ścieżkę prowadzącą nad morze.

Trąciła Caleba, który również ją zauważył i ruszył za Caitlin w tamtym kierunku, pozostawiając wioskę za sobą.

Kiedy zbliżyli się do linii brzegowej, Caitlin zobaczyła trzy niewielkie, jaskrawo pomalowane łodzie rybackie – podniszczone, w połowie wyciągnięte na piaszczysty brzeg i podskakujące po drugiej stronie na wodzie. W jednej siedział rybak, a przy pozostałych dwóch stali zanurzeni po kostki w wodzie inni dwaj rybacy. Byli to starsi mężczyźni o siwych włosach i pasującymi do nich brodami, twarzami równie zniszczonymi co ich łodzie, z opaloną skórą porytą licznymi zmarszczkami. Mieli na sobie białe odzienie i białe kaptury chroniące ich przed słońcem.

Na oczach Caitlin dzwignęli rybackie sieci i zaczęli ciągnąć je powoli. Zaparli się, walcząc z falami, gdy z jednej łodzi wyskoczył mały chłopiec i podbiegł do sieci, by pomóc je wciągnąć. Kiedy dotarły na brzeg, Caitlin zauważyła w nich wiele ryb. Chłopiec zapiszczał z zachwytem, jednak wiekowi rybacy popatrzyli na sieci z ponurą miną.

Caitlin i Caleb podkradli się do nich po cichu – a do tego przy akompaniamencie rozbijających się o brzeg fal – tak, że rybacy nadal nie byli świadomi ich obecności. Caitlin odchrząknęła, nie

chcąc ich wystraszyć.

Odwrócili się gwałtownie i spojrzeli w jej stronę z widocznym zaskoczeniem w oczach. Nie miała im tego za złe: razem z Calebem musieli przedstawiać szokujący obraz – oboje ubrani od stóp do głów w czarne, nie na czasie, skórzane bitewne stroje. Musieli wyglądać, jakby spadli prosto z nieba.

– Wybaczcie, że was niepokoiimy – zaczęła Caitlin – ale czy to jest Kafarnaum? – spytała najbliższego stojącego człowieka.

Rybak przeniósł wzrok na Caleba i z powrotem na nią, po czym powoli skinął głową.

– Szukamy kogoś – kontynuowała Caitlin.

– A kogóż to, jeśli można? – spytał drugi rybak.

Caitlin miała już powiedzieć – mojego Taty – ale powstrzymała się, zdając sobie sprawę, że nic by to nie dało. Jak miałaby go poza tym opisać? Nie wiedziała nawet, kim był, ani jak wyglądał.

Zamiast tego więc wspomniała o jedynej osobie, która przysłała jej na myśl, jedynej, którą mogli znać – Jezusa.

Spodziewała się niemal, że ją wyśmieją, spojrzą na nią, jakby była szalona – albo nie będą mieli pojęcia, kim był Jezus.

Lecz ku jej zaskoczeniu, nie zdawali się zdziwieni pytaniem; potraktowali je poważnie.

– Odszedł stąd dwa tygodnie temu – powiedział któryś z mężczyzn.

Serce Caitlin zabiło mocniej. A więc jednak. To była prawda. Naprawdę żył. Naprawdę trafili w jego czasy. I naprawdę tu był,

w tej wiosce.

– Razem ze wszystkimi swoimi wyznawcami – powiedział drugi rybak. – Tylko starcy, jak my i dzieci pozostały na miejscu.

– A więc jest prawdziwy? – zapytała zszokowana Caitlin. Nadal nie mogła w to uwierzyć; za dużo tego było, by zdołała pojąć.

Nagle podszedł do Caitlin chłopiec i stanął blisko niej.

– Naprawił rękę dziadkowi – powiedział. – Spójrzcie na nią. Był trędowaty, a teraz jest uleczony. Pokaż jej, dziadku – dodał.

Stary rybak odwrócił się powoli i podciągnął rękaw do góry. Jego ręka wyglądała całkiem normalnie. W gruncie rzeczy, kiedy Caitlin przyjrzała się jej uważnie, zauważyła, że wyglądała młodziej od jego drugiej ręki. To było niesamowite. Miał rękę osiemnastolatka. Różową i zdrową – jakby otrzymał zupełnie nową.

Caitlin nie mogła w to uwierzyć. Jezus istniał naprawdę, naprawdę uleczal ludzi.

Na widok ręki tego mężczyzny, człowieka, który był kiedyś trędowaty, całkowicie uleczonej, poczuła dreszcze na plecach. Wszystko było jasne. Po raz pierwszy poczuła nadzieję, że mogła rzeczywiście go znaleźć, rzeczywiście odszukać ojca i tarczę. I że mogli pomóc jej dotrzeć do Scarlet.

– Wiecie, gdzie poszedł? – spytał Caleb.

– Z tego, co słyszałem to do Jerozolimy – zawołał ponad hukiem załamujących się fal jeden z pozostałych mężczyzn.

*Jerozolima*, pomyślała Caitlin. Miała wrażenie, że to tak

daleko. Przelecieli całą drogę tutaj, do Kafarnaum. I teraz przypominało to szukanie wiatru w polu. Po tym wszystkim musieli zawrócić i odejść z pustymi rękoma.

Lecz wciąż czuła palącą ją Gwiazdę Dawida w dłoni i była pewna, że musiał być jakiś powód, dlaczego zostali wysłani do Kafarnaum. Czuła, że było tu coś jeszcze, coś, co musieli odszukać.

– Jest tu jeszcze jeden z jego uczniów – powiedział rybak. – Paweł. Możecie go zapytać. On może wiedzieć, gdzie dokładnie zamierzają pójść.

– Gdzie on jest? – spytała Caitlin.

– Tam, gdzie oni wszyscy spędzają czas. W starej synagodze – powiedział mężczyzna. Odwrócił się i wskazał kciukiem za siebie ponad ramieniem. Caitlin odwróciła się, spojrzała i zauważyła spoczywającą na wzgórzu, z widokiem na morze, piękną, niewielką, wapienną świątynię. Wyglądała staro, nawet jak na te czasy. Przyozdobiona misternie wykutymi kolumnami, wychodziła na morze, mając bezpośredni widok na załamujące się fale. Caitlin wyczuła, pomimo dzielącej ją od budowli odległości, że było to święte miejsce.

– Była synagoga Jezusa – powiedział jeden z rybaków. – To tam spędzał cały czas.

– Dziękuję – powiedziała Caitlin i ruszyła w stronę świątyni. Mężczyzna podniósł rękę i chwycił jej ramię swą odrodzoną, zdrową dłonią. Caitlin zatrzymała się i popatrzyła na niego. Wyczuwała energię pulsującą w jego dłoni i przechodzącą na nią.

Niczego takiego nigdy jeszcze nie czuła. Była to uzdrawiająca, poprawiająca samopoczucie energia.

– Nie jesteś stąd, prawda? – spytał mężczyzna.

Caitlin poczuła, jak zajrzał jej w oczy i wiedziała, że coś wyczuwał. Zdała sobie sprawę, że nie miało sensu okłamywanie go.

Powoli potrząsnęła głową.

– Nie, nie jestem.

Wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę, po czym skinął powoli głową, jakby zadowolony.

– Znajdziesz go – powiedział. – Czuję to.

\*

Caitlin i Caleb ruszyli wzdłuż wybrzeża, tuż przy załamujących się falach, w powietrzu przesiąkniętym morską solą. Chłodna bryza przynosiła ukojenie, zwłaszcza po tak długim pobycie w pustynnym skwarze. Skręcili i weszli na niewielkie wzgórze, na którego szczycie leżała starożytna synagoga.

Caitlin podniosła wzrok i przyjrzała się zbudowanej z wytartego wapienia świątyni, która sprawiała wrażenie, jakby stała w tym miejscu od setek lat. Wyczuwała płynącą z niej energię; było to prawdziwie święte miejsce i było to już dla niej oczywiste. Jej wielkie, sklepione drzwi były uchylone i kiedy poruszał nimi wiatr, skrzypiały.

Kiedy wspinali się na wzgórze, mijali kępy dzikich kwiatów wyrastających zdawałoby się wprost ze skały i mieniących się różnymi odcieniami jasnych barw pustyni. Były przepiękne i takie niespodziewane, tak niezwykle na tle tego opustoszałego miejsca.

Dotarli na szczyt i podeszli do wejścia. Caitlin czuła, jak Dawidowa Gwiazda płonęła w kieszeni i dzięki temu była pewna, że właśnie o to chodziło.

Podniosła wzrok i zauważyła nad drzwiami ogromną, złotą gwiazdę Dawida wmurowaną w skalny budulec, a dokoła niej hebrajskie litery. Odnosiła niesamowite wrażenie na myśl o tym, że miała za chwilę stanąć w miejscu, w którym Jezus spędził tak dużo czasu. W jakiś sposób miała wrażenie, że wchodziła do kościoła – ale oczywiście, kiedy ta myśl przyszła jej do głowy, zdała sobie sprawę, że to nie miało sensu, jako że kościoły zaczęto budować dopiero po jego śmierci. Dziwnie się poczuła, myśląc o Jezusie w synagodze – lecz przecież wiedziała, że Jezus był Żydem, Rabbim, więc wszystko to miało jednak sens.

Ale jaki związek miało to wszystko z poszukiwaniami jej ojca? Czy też tarczy? Miała coraz silniejsze przeczucie, że wszystko to wiązało się ze sobą, wszystkie te stulecia, daty i miejsca – wszystkie poszukiwania w klasztorach i kościołach, wszystkie klucze, wszystkie krzyże. Czuła, że spletała je wspólna nić tuż pod jej nosem. A mimo to wciąż nie wiedziała, o co w tym chodziło.

Najwyraźniej istniał jakiś święty, duchowy aspekt, który

musiała wziąć pod uwagę, aby znaleźć to, czego szukała. Co wydało się jej równie dziwne, ponieważ, jakby nie patrzeć, żyła w świecie wampirów. Chociaż z drugiej strony, kiedy się nad tym zastanowiła, uzmysłowiła sobie, że w tym świecie toczyła się duchowa wojna między nadprzyrodzonymi siłami dobra i zła, tymi, którzy pragnęli chronić ludzką rasę i tymi, którzy chcieli ją skrzywdzić. I najwyraźniej, cokolwiek miała znaleźć, wiązało się to z ogromnymi konsekwencjami nie tylko dla rasy wampirów, ale i dla ludzi.

Spojrzała na uchylone drzwi i zaczęła się zastanawiać, czy powinni wejść ot tak.

– Witajcie? – zawołała.

Poczekwała kilka minut, słuchając własnego głosu niesionego echem, ale nie otrzymała żadnej odpowiedzi.

Spojrzała na Caleba. Skinął głową, a ona zauważyła, że on również czuł, iż byli we właściwym miejscu. Podniosła rękę i położyła dłoń na starych drewnianych drzwiach. Popchnęła je delikatnie. Zaskrzypiały, a oni weszli do zacienionego wnętrza budowli.

Świątynia zapewniała ochronę przed słońcem i było tam również chłodniej. Minęła chwila, zanim oczy Caitlin przystosowały się do nowych warunków. Powoli odzyskała wzrok i zaczęła przyglądać się pomieszczeniu, które miała przed sobą.

Było wspaniałe, niepodobne do żadnego, które już widziała. Nie było wytworzone, jak te kościoły, w których już była; w

zasadzie był to skromny budynek zbudowany z marmuru i wapienia, ozdobiony kolumnami, z misternymi rzeźbieniami pokrywającymi strop. Nie było żadnych ławek, niczego, na czym można by usiąść – tylko ogromna, pusta przestrzeń. Na przeciwległym końcu znajdował się prosty ołtarz – zamiast jednak górującego nad nim krzyża, Caitlin zauważyła wielką Gwiazdę Dawida. Za nią znajdowała się niewielka, złota szafka z podobizną dwóch wielkich zwojów wyrytych na powierzchni.

W murach widniały nieliczne, niewielkie okna, które przepuszczały gdzieś światło, ale mimo to, wewnątrz ciągle panował półmrok. Było tu tak cicho i spokojnie. Caitlin słyszała jedynie odgłos załamujących się w oddali fal.

Caitlin i Caleb wymienili się spojrzeniem, po czym ruszyli powoli w kierunku ołtarza. Ich kroki rozbrzmiewały echem odbijającym się od marmurowych ścian, a Caitlin nie mogła oprzeć się wrażeniu, że ktoś ich obserwował.

Dotarli na drugi koniec świątyni i stanęli przed złotą szafką. Caitlin przyjrzała się inskrypcjom wyrytym w złocie: były nad wyraz szczegółowe, wręcz misterne. Przypominały jej Duomo, ten kościół we Florencji, jego złoczone drzwi. Wyglądało to, jakby ktoś również spędził całe życie, rzeźbiąc tę szafkę. Wizerunek zwojów wzbogacony był hebrajskimi literami wyrytymi dokoła nich. Caitlin zastanawiała się, co kryło się w środku.

– Tora – odezwał się czyjś głos.

Caitlin odwróciła się gwałtownie, zaskoczona obcym głosem.

Nie rozumiała, jak ktoś mógł zachować taką ciszę, jak zdołał umknąć jej zmysłom – a przede wszystkim, jak mógł odczytać jej myśli. Tylko ktoś wyjątkowy mógł tego dokonać. Albo wampir, albo ktoś święty, albo jedno i drugie.

W ich kierunku szedł mężczyzna w białych szatach, ze zdjętym kapturem, długimi, potarganymi, jasnobrązowymi włosami i brodą do pary. Miał piękne, błękitne oczy i pełny współczucia wyraz twarzy rozświetlonej promiennym uśmiechem. Wyglądał, jakby w ogóle się nie starzał, miał ponad czterdzieści lat i szedł, lekko kulejąc, trzymając w dłoni laskę.

– To zwoje Starego Testamentu. Pięć ksiąg Mojżesza. Właśnie one znajdują się za tymi złotymi drzwiczkami.

Podszedł bliżej i zatrzymał się, kiedy znalazł się zaledwie kilka stóp od Caitlin i Caleba. Spojrzał wprost na nią i Caitlin poczuła emanującą od niego siłę. Najwyraźniej był kimś nadzwyczajnym.

– Jestem Paweł – powiedział, nie wyciągając dłoni na powitanie, którą wciąż trzymał na lasce.

– Jestem Caitlin, a to mój mąż Caleb – odpowiedziała.

Uśmiechnął się szeroko.

– Wiem – odparł.

Caitlin poczuła się głupio. Najwyraźniej ten mężczyzna, który potrafił przecież z łatwością odczytać jej myśli, wiedział o wiele więcej o niej, niż ona o nim. Odniosła upiorne wrażenie na myśl o tym, że wszyscy ludzie, w każdym stuleciu i każdym miejscu wiedzieli o niej i na nią czekali. Dzięki temu miała poczucie, że

jej cel był ważny, jej misja istotna. Ale odczuwała z tego powodu również frustrację, gdyż nie wiedziała, czym był, ani dokąd miała się teraz udać.

– Wybacz, że przeszkadzamy – powiedział Caleb. – Lecz powiedziano nam, że modlił się tu Jezus. Że przebywał tu ostatnio. Czy to prawda?

Mężczyzna skinął głową powoli ze wzrokiem wciąż utkwionym w Caitlin.

– Wyruszyli do Jerozolimy jakiś czas temu – powiedział. – Gdybyście należeli do kolejnej grupy ludzi, która przybyła, by zostać uleczona, powiedziałbym, że się spóźniliście. Jednakże wiem, że nie przybyliście tu w tym celu. Nie. Macie zupełnie inny powód, prawda? – zapytał, wciąż patrząc na Caitlin.

Caitlin skinęła głową, wyczuwając, że mężczyzna wiedział już o wszystkim. I pierwszy raz w życiu odczuła coś innego: że ten mężczyzna był bliski jej ojcu. Że wiedział, gdzie on przebywał. Uczucie to wywołało u niej dreszcze. Nigdy jeszcze nie czuła się tak blisko swego ojca.

– Szukam ojca – powiedziała Caitlin, słysząc własny, trzęsący się z powodu tych myśli głos.

Mężczyzna uśmiechnął się do niej.

– A on szuka ciebie.

Caitlin otworzyła szeroko oczy z zaskoczenia.

– Znasz go? – spytała.

Mężczyzna skinął głową.

– Gdzie on jest? – zapytała zniecierpliwiona Caitlin.

Mężczyzna westchnął jedynie, odwrócił się i podszedł do okna. Stał tam przez dłuższą chwilę, wpatrując się w morze.

– Nie jestem tym, który może ci to wyjawić.

Wszystkie te zagadki doprowadzały Caitlin do szału. Nie mogła już więcej znieść. *Musiata* wiedzieć, gdzie był.

– Dlaczego po prostu mi tego nie powiesz? – spytała, zdenerwowana.

Mężczyzna zawahał się.

– Mógłbym ci powiedzieć – rzekł – ale nie chciałabyś mnie słuchać.

Jego słowa jedynie pogłębiły jej dezorientowanie. Nie miała pojęcia, o co mu chodziło.

– Jesteś już w ostatnim miejscu i czasie – kontynuował. – Jesteś bliżej znalezienia ojca, niż sobie wyobrażasz. Lecz działają też potężne moce. Mroczne siły. Zbyt wiele jest do stracenia, a one chcą zagarnąć tarczę. I nie cofną się przed niczym, by ją dostać.

– Nadchodzi czas, kiedy będziesz musiała dokonać wyboru. Zdecydować się na wielkie poświęcenie. Pamiętaj, że twój ojciec i tarcza muszą znaczyć więcej niż cokolwiek innego. Są ważniejsze od osobistych pragnień, nawet od rodziny. Rozumiesz? Będzie ci ciężko. Będziesz musiała dokonać trudnych wyborów. Dla dobra nas wszystkich. Rozumiesz? – spytał ponownie.

# Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.